odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 20 (324)
17. V. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Świąteczne wspomnienia ● Uwaga, szpieg ● Na wariackich papierach ● Paryska satyra ● Sprawy obce i polskie ● Sierpniowy upał ● Polonica ● Felietony ● Recenzje

JÓZEF HEN

NAD RANEM

Na ławce w parku, pod olbrzymiejącymi drzewami, które z krzaków tarniny przeistoczyły się w nadwiślańskie topole, w parku, nie, nie w parku, ławki też nie ma, to mogła być jakaś sala, ciemnica gestapo, ale dlaczego bez ścian, dlaczego ogród, korony drzew płynące jak chmury, jednak park, jednak noc, ale ławki nie było, ta kobieta nie siedziała, zgarbiona stała pod drzewem, nadwiślańską topolą. Matka. To była jego matka. Przyniosłam ci ubranie, Henrysiu, przymierz. Ściskał z zakłopotaniem spod nie pomięte, nie odprasowane, kobieta siedziała na ławce, to była Anna — przebieraj się, mówiła — nie bądź głupi, — więc jednak przyszłaś — szepnął, wyciągnął ręce, dotknął jej ciała, było galaretowatą ciepłą masą, prześliznęło się między palcami, mam pecha. Usłyszał szczekanie psów. — Gonią mnie, Anno, uciekaj — krzyczał w ciemność. Pies warknął, wyszczerzył zęby, łypnął przekrwionym jednym ślepiem. Skądś go znam, przesłuchiwał mnie w gestapo. Pies warknął, Henryk uskoczył i rzucił się do ucieczki, rozwrzeszczana sfora za nim, psy otaczały Henryka ze wszystkich stron, miały ludzkie twarze, szczekały ludzkim głosem. Uciekał lekko, prawie nie dotykając ziemi, przebiegał ponad torami, unosił się wyżej dachów, mijał lasy i łąki, na których osiadały opary, to nie jest sen — pomyślał zdziwiony, we śnie się tak lekko nie biega, to nie sen, jestem po prostu w niezwykłej formie, zwyciężam, nareszcie zwyciężam, biję wszystkie rekordy. Rozjaśniło się nagle i stracił grunt pod nogami, spadał w błękitną, nieskończoną próżnię pełną zwierzęcych głosów. Błękit zrudział, próżnia zgęstniała i Henryk poczuł, że nogi grzęzną mu w błocie. Pościg zbliżał się, on tkwił po pierś w błocie, słyszał bulgotanie pęcherzyków powietrza, mlaskanie tonących, lepkie gałęzie chłostały twarz, smród i zgnilizna, to nie sen, niestety, to nie sen, pobiłem rekord świata, ale nikt się o tym nie dowie, z daleka błyszczały w ciemności jednookie światła ludzkich siedzib. Ratujcie! Błoto zapełniało usta. Ratujcie! Psy warczały nad uchem. — Widzisz? — wołały psy. — Widzisz? Ktoś chwycił go za ramiona i wyciągnął z trzęsawiska. Wisiał rozpięty na swastyce, nie bolało, zadziwiające, a tak się bałem, no i czego, swędzenie w dłoniach to przewody elektryczne. Pies o przekrwionym ślepiu warknął. Umrę, zrozumiał Henryk. Znowu umrę. Błysk i trzask, księżyc wybuchł i spadł na oczy, igiełki przekłuły ciało. Spadał na ziemię, długo spadał, zaraz będzie śmierć — myślał spadając, będzie jak dotknę ziemi. Dotknął — teraz jest śmierć, teraz jest nic — pomyślał, umarłem i jest nic, więc to jest śmierć, wiedziałem, że to tak jest, wcale niestraszne.

Chwilę leżał bez ruchu. Łóżko, poduszka. Śmierć powoli z niego uchodziła. Jeszcze trochę nie żył, jeszcze ostatnie resztki śmierci się w nim kołatały, jeszcze chwilę dziwił się temu, co zaszło, umarłem, a jednak o tym wiem, no to nic strasznego, z tamtego świata dobiegało jeszcze szczekanie psów, chrapliwe „widzisz", smród błota. Przespać to wszystko — przypomniał sobie. Nieaktualne, wojny nie ma, wszystko jest na odwrót, jawa jest lepsza, bez strachów, za to we śnie wraca tamten koszmar. Pokój był szary, świtało, noc umknęła, za mało spałem — zaniepokoił się, będę do niczego, teraz każda chwila jest na wagę złota, na wagę śmierci, obudziłem się w samą porę. Pod kołdrą leżała skulona kobieta, spała z rozchylonymi ustami, pogrążona w swoim własnym bólu. Jezu, co jej się tam musi śnić, nasze przeklęte sny, a może nic takiego, może to grymas rozkoszy, może śni jej się narzeczony, którego

Dalszy ciąg na str. 6

Mamy więc wiosnę — a wraz z nią doroczne kiermasze książek, wystawy plastyczne, Kaliski Festiwal Teatralny. A jeszcze: krakowski jubileusz nadający jej szczególnie uroczysty i podniosły ton. Mamy więc w tym roku bardzo piękną wiosnę.

Dysonansem mącącym ten nastrój jest sprawa osławionego „Listu 34". Dziś, po publikacjach jakie się ukazały na ten temat w prasie centralnej, można już odpowiedzieć sobie na pierwsze niecierpliwe pytanie, można wyciągnąć i pierwsze wnioski. Spróbujmy to uczynić:

List do premiera został, jak już wiemy, przekazany do rozpowszechnienia za granicą: nie wiemy, kto to uczynił, pewnym jest jednak, że ten pożałowania godny czyn wywodzi się ze złych tradycji, z ducha targowicy, z owych memoriałów składanych niegdyś czołobitnie cesarzom. To niewiara we własną suwerenność, to pieniactwo i małoduszność podyktowały komuś taką doprawdy żałosną i haniebną decyzję.

I dobrze się stało, że w proteście skierowanym do redaktora Timesa głos zabrali współautorzy listu: ich protest przeciw mieszaniu się w wewnętrzne nasze sprawy wiele wyjaśnił: A co najważniejsze — jednoznacznie określił intencje autorów listu. Powiedzmy wprost: intencje patriotyczne.

Bowiem list do premiera był pisany — jak się wydaje — w trybie roboczym i tak jak nie szczędzimy najostrzejszych słów krytyki pod adresem np. naszego budownictwa, chociaż dumni jesteśmy przecież z odbudowanych miast i wznoszonych wszędzie nowych osiedli — tak i w dziedzinie polityki kulturalnej wiele jej aspektów poddajemy nieustannej krytyce. Czynią to i nasze środowiska artystyczne i nasza prasa kulturalna. Takie wypowiedzi wywodzą się z potrzeby usuwania niedostatków, z żarliwości serca. Bo, jak powiedział pewien wielki pisarz — patriota to ten, który w ojczyźnie wszystko krytykuje i wszystko chciałby nieustannie upiększać.

Ale troska o dobro sprawy i krytyka niedociągnięć choćby najbardziej kontrowersyjna to jeden aspekt tej historii, a szukanie sprzymierzeńców na Zachodzie — musimy to raz jeszcze podkreślić — to drugi jej aspekt.

Ten, kto przekazał naszą wewnętrzną, intymną sprawę do rozpowszechnienia za granicą, szukał tam właśnie sojusznika: i oczywiście znalazł go. Pokaż mi twoich przyjaciół a powiem ci kim jesteś — tak mówi stare przysłowie. „Wolna Europa" wykorzystała okazję by rozpętać akcję szkalującą nasz kraj. Oto żałosny finał czyjegoś awanturnictwa politycznego.

„Wolna Europa" celuje w oszczerstwach. Zaludniła ona kiedyś nasz Śląsk milionami Mongołów, pozamykała wszystkie kościoły w Polsce, skazała Stefana Żeromskiego na banicję z ojczyzny. Dziś trąbi na cały świat o upadku polskiej kultury. Nic dziwnego, za to jej płacą. Trudno więc by przypominała w 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego losy polskich naukowców rozstrzelanych przez hitlerowskich żołdaków. Trudno by mówiła całą prawdę chociażby o frankfurckim procesie.

Ale psy szczekają, a karawana idzie dalej. Jest wiosna, więc wybieramy się na Kiermasz Książek!

JÓZEF RATAJCZAK

ŻYCIORYS NIEFORTUNNY

1.

Zakłady Przemysłu Metalowego H. Cegielski w Poznaniu to kombinat dziewięciu odrębnych fabryk. Centralizacji odpowiada tu daleko posunięta decentralizacja. Stąd nic dziwnego, że nominalni dyrektorzy fabryk bywają nazywani dyrektorami, i pełnią rzeczywiście ich funkcje.

Fabryka wagonów należy do największych i węzłowych jednostek w kombinacie. Zatrudnia trzy tysiące robotników a jej udział w globalnej produkcji zakładów H. Cegielski sięga czterdziestu pięciu procent. Niewykonanie planu w tej fabryce „położyłoby" więc momentalnie całą produkcję HCP.

W 1961 r. kierownictwo fabryki objął inżynier Stanisław Łabuziński. Nowy dyrektor przez blisko pół roku przyglądał się zakładowi niewiele w tym czasie zmieniając i usprawniając. Zdawał sobie sprawę, że każde nie przemyślane do końca posunięcie mogłoby się okazać katastrofalne w skutkach. Po okresie wstępnych rozeznań i przygotowań przystąpił jednak do radykalnych zmian.

W fabryce zawrzało. I, jak zwykle w takich razach — entuzjazmowi zaczęło towarzyszyć oburzenie. Ale dyrektor zdołał już poznać załogę. Wiedział, że można na nią liczyć, gdyż ludzie lubią porządek w zakresie organizacji pracy. Są odważni, w krytyce wszystkiego, co uważają za niesłuszne, lecz nie szczędzą ofiar i wysiłku, skoro spostrzegą, że interes zakładu splata się z ich osobistymi interesami. Toteż Łabuziński wystrzegał się pójścia na tani poklask bądź wydawania drakońskich zarządzeń. Zwłaszcza, że załoga była bardzo niejednolita. Wielu robotników rekrutowało się ze wsi. Ci byli na bakier z wszelką dyscypliną. Zbliżał się okres prac polowych — uciekali bez wypowiedzenia. Nadchodziła zima — szukali gorączkowo pracy. Niedobrze układały się też stosunki pomiędzy chłopcami ze szkół zawodowych, którzy odbywali tu staż — a majstrami, przechwytującymi ich ponadnormatywną pracę albo traktującymi ich jak chłopców do posyłek.

Nowy dyrektor zabrał się do „reform" powoli, lecz zdecydowanie.

Nade wszystko usprawnił organizację pracy.

Wielkie zmiany i usprawnienia najwidoczniejsze są zazwyczaj na drobiazgach.

Dorabianie i mieszanie farb do malowania wagonów wyglądało, dla przykładu, przez całe lata tak: robotnikom wydawano farby, rozpuszczalniki itd., które następnie indywidualnie przygotowywano. Ile marnowano przy tym cennego towaru trudno obliczyć. Raz było farby za mało — wtedy na próżno starano się uzyskać ten sam odcień. Za drugim razem farba została — i nie wiadomo było na co ją zużyć. Obecnie farbę przygotowują centralnie fachowi instruktorzy, od których odbierają ją w dowolnych ilościach robotnicy.

Rzecz jasna — zmianom drobnym (z pozoru) towarzyszą również naprawdę wielkie, przekształcające w sposób zasadniczy charakter pracy i wypierające z niej wysiłek fizyczny.

I tak — francuska zgrzewarka do łączenia krokwi z dachem wyeliminowała ręczne spawanie; obciągarka do krokwi (prototyp wyprodukowany przez poznańskie Centralne Laboratorium Obróbki Plastycznej, będąca rewelacją nie tylko w kraju) najcięższą pracę przy nadawaniu krokwi promie-

Dalszy ciąg na str. 3

odgłosy w świecie

TAKI TO BYŁ TYDZIEŃ

— to tytuł nowej pozycji, którą po raz pierwszy prezentujemy dziś naszym Czytelnikom. Będziemy w niej zamieszczać w telegraficznym skrócie — wzorem innych tygodników i czasopism — najważniejsze wydarzenia polityczne i gospodarcze, jakie miały miejsce w minionym tygodniu w kraju i na świecie. Myśl wprowadzenia tego rodzaju pozycji przyświecała nam już od dawna. Zdawaliśmy sobie bowiem sprawę z tego, że pismo nasze — jako tygodnik — nie jest w stanie, z przyczyn oczywistych, przekazywać na bieżąco pełnego serwisu informacyjnego z dziedziny wielkiej polityki. Tę lukę — zdopingowani postulatami wielu Czytelników — będziemy się starali wypełnić w skrótowej bodaj formie tą oto pozycją.

CHRUSZCZOW W ZRA

Tysięczne wiwatujące tłumy, bramy triumfalne, ukwiecone domy, salut armatni w Kairze — tak witał naród egipski premiera Zw. Radzieckiego, który przybył do prastarej ziemi faraonów na zaproszenie prezydenta ZRA Gamal Abdel Nassera. „Ojcem wysokiej tamy", „twórcą piramidy XX w." — nazywa Chruszczowa prasa i radio egipskie, dla podkreślenia ogromnego wkładu Zw. Radzieckiego w budowę potężnej tamy na Nilu pod Assuanem. A co owa tama da Egiptowi? Primo — uniezależni fellachów od kaprysów Nilu, którego wody, skierowane nowym korytem, zmagazynowane zostaną w ogromnym, 500 km długości liczącym, sztucznym jeziorze (drugie co do wielkości na świecie!). W latach suszy wody te zraszać będą pola uprawne. Secundo — 12 turbin potężnej elektrowni wodnej produkować będzie rocznie 10 miliardów kilowatogodzin taniej energii elektrycznej (3-krotnie więcej, niż produkuje się obecnie w całej ZRA!), co umożliwi rozwój produkcji przemysłowej kraju. Koszt tej gigantycznej inwestycji wynosi 250 milionów funtów egipskich, ale dochód narodowy ZRA, dzięki istnieniu tamy zwiększy się o 234 mln. funtów egipskich rocznie. Koszt budowy zamortyzuje się więc w ciągu 1 roku. Już dziś wiadomo, że ze znanych z Biblii lat „tłustych i chudych" Egipt przeżywać będzie w przyszłości tylko lata „tłuste". Przypominamy ponadto: kredytów na budowę tamy miały pierwotnie udzielić St. Zjednoczone. Ponieważ jednak przyznanie ich uzależniono od szeregu koncesji politycznych i gospodarczych Nasser odrzucił ofertę USA i zwrócił się o pomoc do ZSRR. I nie zawiódł się, bowiem Zw. Radziecki zgodził się współfinansować budowę tamy bez jakichkolwiek ubocznych warunków.

ZJAZD PISARZY

Odpowiedzią niejako na szerzone coraz bardziej przez oficjalne koła w Bonn i przeróżne „związki przesiedleńców" żądania rewizjonistyczne był VII zjazd pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych w Poznaniu. Szczególnie mocne akcenty krytyczne zawierało przemówienie Zenona Kliszki. Wskazał on na wielu przykładach, że młodzież w NRF wychowywana jest w duchu nienawiści i pogardy do swych wschodnich sąsiadów, szczególnie Polaków i Rosjan. Wg ankiety, jaką przeprowadzono ostatnio wśród 13—15-latków w NRF, Rosjanie są w opinii młodych Niemców „brutalni, ponurzy, wojowniczy i oszukańczy", zaś Polacy to „brudni, leniwi, bezczelni i obrzydliwi" ludzie. W tymże przemówieniu Z. Kliszko przedstawił stanowisko partii i rządu wobec listu 34 pisarzy i naukowców.

OSTRZEŻENIE

Szczecin był tym razem miejscem inauguracji obchodów VII Tygodnia Ziem Zachodnich i Północnych. W przemówieniu powitalnym Zenon Nowak polemizując z roszczeniami rewizjonistycznymi Bonn powiedział między innymi: „walkę o te ziemie wygraliśmy z imperialistami niemieckimi na gruncie militarnym w 1945 r., wygraliśmy na gruncie prawno-międzynarodowym na Konferencji Poczdamskiej... wygraliśmy ją także z pogrobowcami Hitlera na gruncie gospodarczym i kulturalnym." Z. Nowak ostrzegł również od wetowców, że każda próba zamachu na nasze prawa do tych ziem spotka się z natychmiastową reakcją państw Układu Warszawskiego.

POLITYK

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO,

O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH,

O „ODGŁOSACH",

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

DAVID HOGGAN I HISTORIA

Historyk amerykański, nazwiskiem Hoggan, napisał przed paroma laty książkę pt. „Narzucona wojna", w której winę za rozpętanie drugiej wojny światowej przypisuje... No, jak myślicie — komu? Nie, nie Adolfowi Hitlerowi. Dr David Hoggan w swoim dziele, liczącym 900 stron druku, za wywołanie drugiej wojny światowej czyni odpowiedzialnymi Anglię i Polskę. Ponieważ żaden z amerykańskich i angielskich wydawców nie zdecydował się książki Hoggana ogłosić drukiem, amerykański historyk przesłał maszynopis swojej pracy do NRF i tam mu jego dzieło wydano. W dziele tym czytamy, że konflikt niemiecko-polski był w 1939 roku konfliktem lokalnym, który dyplomacja angielska sprytnie wyzyskała, doprowadzając do katastrofy.

Praca Hoggana bardzo się spodobała zachodnioniemieckim ugrupowaniom neofaszystowskim. Skrajnie prawicowy tygodnik „Deutsche National-Zeitung und Soldaten-Zeitung", kultywujący jawnie tradycje hitlerowskie, rozpoczął kampanię rozsławiającą książkę Hoggana. Powstało nawet nie istniejące dotychczas „Towarzystwo Popierania Badań Historyczno-Naukowych", które postanowiło przyznać Hogganowi nagrodę im. Leopolda von Ranke, dziewiętnastowiecznego historyka niemieckiego, autora m. in. fundamentalnej „Historii świata". Nagroda winna być przyznawana co pięć lat w wysokości 10.000 marek. Zarówno redakcji „Soldaten-Zeitung" jak i wspomnianemu Towarzystwu nie wystarczało jednak ufundowanie nagrody dla Hoggana. Postanowiono zaprosić go do wygłoszenia kilku odczytów w miastach NRF. Między innymi miał się odbyć odczyt we Frankfurcie nad Menem, gdzie właśnie toczy się sąd nad zbrodniarzami oświęcimskimi. Na szczęście nie wszyscy w NRF podzielają poglądy entuzjastów Hoggana. Młodzież uniwersytecka Frankfurtu wyszła na ulice z transparentami: „Frankfurt to nie Monachium". W rezultacie zrezygnowano z odczytu Hoggana we Frankfurcie, zrezygnowano również z Monachium. Odczyt odbył się w małej miejscowości pod Düsseldorfem.

Wmieszali się do sprawy historycy zachodnioniemieccy. Niektórzy posunęli się tak daleko, iż uznali Hoggana za hochsztaplera, wykazując liczne błędy i przeinaczenia w jego pracy. Przedstawiciele SPD zgłosili w Bundestagu interpelację, skierowaną do rzecznika rządu z zapytaniem, czy rząd związkowy orientuje się w poczynaniach kół skrajnie prawicowych.

Nie wpłynęło to bynajmniej hamująco na organizatorów nagrody i odczytów. Neofaszyści i hitlerowcy zdwoili wysiłki, by nadać sprawie rozgłosu i znaczenia. Oto nie wystarczyło im przyznanie Hogganowi nagrody im. Leopolda von Ranke. Uznali za stosowne przyznać mu jeszcze jedną nagrodę, tym razem im. Ulricha von Hutten i ceremonia ta miała odbyć się w Heidelbergu. Redakcja „Soldaten-Zeitung" pośpieszyła z serią artykułów, w których udowadnia, że Hoggan to uczony z prawdziwego zdarzenia, któremu miłość prawdy droższa jest nad wszystko. Gazeta pisze m. innymi: „W czasie, gdy świadomie lub nieświadomie miesza się historię z propagandą, przypomnienie rewolucjonizujących zasług Leopolda von Ranke posiada dziś jeszcze, rozstrzygające znaczenie dla polityki teraźniejszości i kształtowania przyszłości. Tylko w prawdzie bez żadnych ograniczeń, w prawdzie odsłaniającej wszystkie strony zagadnienia, kryje się możliwość prawdziwego pokoju między narodami". Takim właśnie rzecznikiem prawdy historycznej ma być, wedle „Soldaten-Zeitung", David Hoggan.

Strach pomyśleć, do czego by doszło, gdyby hitlerowcy z „Soldaten-Zeitung" doszli znowu do głosu. To oni piętnują proces zbrodniarzy oświęcimskich we Frankfurcie nad Menem jako niegodny narodu niemieckiego. To oni są gorącymi zwolennikami ustawy o przedawnieniu zbrodni wojennych. To oni chwalą czasy faszystowskie jako czasy wielkiego bohaterstwa i cnót żołnierskich. No cóż, natura ciągnie wilka do lasu, a zbrodniarzy — do nowych zbrodni.

MONTE CASSINO

Niemal dokładnie w XX-lecie bitwy pod Monte Cassino, ukazały się nowe książki poświęcone temu ważnemu epizodowi minionej wojny. Pierwsza z nich wyszła spod pióra Harolda L. Bonda, naukowca związanego z Uniwersytetem w Dartmouth. Przed dwudziestu laty pan profesor był porucznikiem w 36 Gwardyjskiej Dywizji Piechoty Stanów Zjednoczonych, brał udział w bitwie — i jego relacje i wspomnienia pod tym względem zasługują na szacunek i uwagę. „Powrót pod Monte Cassino" jest właściwie tomem esejów, w których rozważania retrospekcyjne przeplatają się z dygresjami filozoficznymi. Bardzo to szlachetne w treści i formie lecz polskiego czytelnika musi zaskoczyć, iż o Polakach w książce H. L. Bonda właściwie nie ma mowy: ich rolę w bitwach sprowadza się do jakichś zadań drugoplanowych i mało ważnych. Może więc książka Bonda w stosunku do polskiego czytelnika spełnić tylko rolę przysłowiowej „kropli goryczy": przelewanie krwi na dalekich i nie wiodących wprost do kraju polach bitew to tylko ułańska tradycja spod Somosierry. Historia surowo ocenia sens takich demonstracji.

Druga książka o Monte Cassino — to wspomnienia generała Frido von Sengera, hitlerowskiego obrońcy klasztoru. Jest to oczywiście kolejna próba rehabilitacji Wehrmachtu.

Trzeba przyznać, że szukając czytelnika w Ameryce, eksgenerał potrafi utrafić we właściwy ton: książka jest patetyczna, przedstawia hitlerowską załogę klasztoru, jako garść rycerzy bez skazy, nie znających lęku, wiernych przysiędze do ostatka. Już sam tytuł — „Ni lęku, ni nadziei" — jest dostatecznie wymowny.

Książka o której mowa spełnia zresztą, oczywistą rolę polityczną: ma służyć ideowym celom sojuszu atlantyckiego. Trudno mieć o to pretensje do pana generała, który gloryfikuje swą własną niesławną przeszłość. Ale nawet i w Ameryce taka wersja niedawnej przeszłości budzi wątpliwości. Oto wymowny cytat z książki profesora Bonda.

„Generał von Senger, obrońca linii Gustawa i Monte Cassino, to humanista, anglofil i człowiek wielkiej kultury. Wiadomo, że nienawidzi Hitlera, wiadomo, że nie zgadza się z nazistami. A przecież bronił linii Gustawa z samozaparciem, angażując w tę sprawę całą swą wielką wiedzę wojskową. Czy można widzieć w tej antynomii jedynie dowody zawodowej dumy oficera? Czy von Senger rzeczywiście miał prawo skoncentrować całą swą uwagę wyłącznie na problemach militarnych — z pominięciem ich aspektu moralnego?"

Zacytowane pytania profesora H.L. Bonda mają charakter retoryczny. Jak świat światem rodacy von Sengera wykonywali swe krwawe rzemiosło — nie zawracając sobie głowy problematyką etyczną. A że przy tej okazji, jako „humaniści i ludzie wielkiej kultury" — grabili w podbitych krajach dzieła sztuki (jak próbował uczynić w Monte Cassino i von Senger) — na cóż, to tylko drobna i tradycyjna słabostka germańskich wojowników. Cechowała ona przecież — jak wiadomo — i wybitnego kolekcjonera Goeringa, a nawet i samego Himmlera.

POLONICA

OPOWIADANIE O POLSCE

Dotarł do nas tom opowiadań pisarzy chińskich, wydany w języku esperanto, a obejmujący utwory z lat 1949—1959. Jedno z opowiadań, którego autorem jest Lu Gjun-Czau, dzieje się w porcie gdyńskim na okręcie „Przyjaźń międzynarodowa", wśród Polaków. Występują wśród nich niejaki Maciejewski, Lewandowski i młody chłopak Jurek. Odnotowaliśmy ten fakt jako rzadką w literaturze chińskiej ciekawostkę polonistyczną.

KSIĄŻKA MIESIĄCA

Darmstädter Jury (jury miasta Darmstadt), składające się z wybitnych profesorów i pisarzy NRF, wytypowało na maj jako książkę miesiąca „Pana Tadeusza" Mickiewicza w przekładzie Hermanna Buddensiega. O przekładzie tym, który ukazał się przed paroma miesiącami, pisaliśmy w „Odgłosach", jak również o samym tłumaczu, Hermannie Buddensiegu, wydawcy i redaktorze „Mickiewicz-Blätter", czasopisma poświęconego popularyzacji literatury polskiej w Niemczech.

POLONICA W JEDNYM NUMERZE

W tygodniku „Die Zeit" (Hamburg — Buenos Aires — Toronto) z 1 maja br. ukazały się następujące wiadomości o sprawach polskich: recenzja Hansa Mayera o „Szkicach o Szekspirze" Jana Kotta, recenzja o filmie Andrzeja Wajdy „Niewinni czarodzieje", który właśnie wszedł na ekrany kin zachodnioniemieckich oraz recenzja o wydanym w książce scenariuszu filmowym „Matki Joanny od Aniołów". Dodajmy, że wszystkie te omówienia są bardzo pozytywne. Jak na jeden numer tygodnika — całkiem nieźle.

WIELCY PIANIŚCI

W Londynie ukazała się książka Harolda Shomberga (w języku angielskim, rzecz jasna) pt. „Wielcy pianiści od Mozarta do czasów dzisiejszych". Autor poświęca w niej sporo miejsca również kompozytorom i pianistom polskim, przede wszystkim Szopenowi, Paderewskiemu i Rubinsteinowi. Paderewskiego uważa on za największego pianistę-artystę swojego czasu. Książka, zawierająca wiele anegdot, napisana jest żywo i barwnie, z dużym talentem literackim.

ŻYCZENIA PREZYDENTA JOHNSONA

W 64 numerze wydawanej przez Stany Zjednoczone w języku polskim „Ameryki" znajdują się życzenia prezydenta Johnsona na jubileusz Wszechnicy Jagiellońskiej. Wyjmujemy z tych życzeń fragment, zasługujący, naszym zdaniem, na uwagę: „Kiedy w 1492 roku Kolumb żeglował przez Atlantyk w stronę zachodzącego słońca, Mikołaj Kopernik odbywał na Uniwersytecie Krakowskim studia, które miały wprowadzić rewolucję do naszych pojęć o wszechświecie. Obecny jubileusz obchodzony — jak przystało — wśród prastarych murów dawnej stolicy Polski, przywołuje wspomnienia historyczne z różnych epok i przypomina tradycyjną więź, jaka istnieje od wielu lat między Ameryką a Polską. Kraków jest przecież miejscem wiecznego spoczynku Tadeusza Kościuszki, wielkiego i nieustraszonego patrioty, który przebył Ocean, by w szeregach armii Jerzego Waszyngtona walczyć o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Wieś ta przetrzymała wszystkie próby, zmiany polityczne rządy i wojenne zawieruchy".

Józef RATAJCZAK

ŻYCIORYS NIETYPOWY

Dalszy ciąg ze str. 1

nia dachu zmieniła w naciskanie odpowiednich guzików na pulpicie sterowniczym; oscylacyjne maszynki pneumatyczne wyeliminowały ręczne wygładzanie powierzchni pudła wagonu kostkami pumeksu.

Wprowadzenie zaostrzonej dyscypliny pracy, wydanie wewnętrznego zarządzenia regulującego odbijanie kart zegarowych (w ubraniach roboczych, a nie po przyjściu do pracy) i wychodzenie na przepustki — było punktem szczególnie drażliwym i zapalnym. Na rzekanie na zaostrzoną dyscyplinę należało przez długi czas do dobrego tonu, poszczególne oddziały zaczęto nazywać obozami, a dowcipom i anegdotom nie było końca.

Śpiewano „czastuszki" w rodzaju tej:

Słowo daję to nie bujda
bez przepustki siusiać pójdę,
przepustka by się przydała,
gdzie władza co by ją dała —

i nie było robotnika, który by jej nie podchwycił.

Tym niemniej po okresie początkowego oburzenia załoga, mówiąc językiem sportowym, złapała drugi oddech i przywykła do sumienności i punktualności tak jak się przywyka do rzeczy zwykłych i normalnych.

Za to stosunek do młodych, a co za tym idzie — do „starych" stał się drugim punktem zapalnym. „Dyrektor walczy ze starymi" — plotkowano, gdy młodzi zostali przenoszeni na odpowiedzialne stanowiska. Każde kolejne zwolnienie, czy zmiana stanowiska wywoływały następną falę plotek. Cośrodowe odprawy w dyrekcji z kierownikami działów zaczęto nazywać z tego względu fabrycznymi „kobrami".

— Dlaczego „kobrami"? — zapytacie?

— A, bo tu i tam — odpowiedzą wam z uśmiechem — nigdy nie wiadomo jaki „trup" padnie.

A „trupy" istotnie padały.

Ale gdy w miarę upływu czasu okazało się, że „starzy" przesuwani są na stanowiska zastępców lub przechodzą do pracy mniej odpowiedzialnej, tracąc na obowiązkach, lecz najczęściej nie tracąc na pensji — zaczęto przyjmować te decyzję bez paniki, a nawet ze zrozumieniem.

Relacja dyrektor — załoga to wszakże tylko jedna strona medalu. Każdy dyrektor znajduje się bowiem, jak wiadomo, pomiędzy załogą a władzami nadrzędnymi. Jeśli dyrektor będzie „grzeczny" wobec władz nadrzędnych i zacznie przyjmować bez oporu podwyższone i wymyślone przy stoliku „wyżej" wskaźniki — popadnie w konflikt z załogą; jeśli natomiast obarczy załogę dodatkowymi zobowiązaniami, nie uwzględniając realnych możliwości fabryki i — w konsekwencji nie wykona planu — wejdzie w konflikt z „górą", która może nie uwierzyć w „obiektywne trudności".

2.

— „Są chwile, że ogarnia mnie zniechęcenie, a mój zapał i dobry humor ulatniają się jak kamfora. Ma to miejsce zwłaszcza wtedy, gdy zostaje mi narzucony nowy plan, a ja wiem z góry, znając zakład i załogę, że jest on niemożliwy do przyjęcia. W takich momentach chciałoby się zrezygnować z tego wszystkiego, wziąć spokojniejszą, mniej odpowiedzialną pracę i nie zawracać sobie, ani innym głowy. Równie stary i niepotrzebny zaczynam się czuć wtedy, gdy praca w zakładzie toczy się zbyt dobrze i spokojnie. W takich wypadkach ogarnia mnie niepokój. Może się już naprawdę starzeję? — myślę. Na szczęście zawsze w sam czas zjawia się ktoś z nowymi problemami, spokój pryska i wszystko wraca do normy...

Na stole pokazuje się kawa i słone paluszki. Dyrektor Łabuziński unosi filiżankę do ust, zastanawia się nad czymś, kładzie ją z powrotem na podstawku i tonem wyjaśnienia dodaje szybko:

— Oglądał pan wczoraj prototyp nowego wagonu osobowego, prawda? To już jest poziom światowy! Wózki dostosowane do szybkości 160 km na godzinę, wnętrze ze szkła i tworzyw sztucznych, szerokie przejścia, każdy przedział utrzymany w innym kolorze, siedzenia w korytarzach, popielniczki, stoliki — chowane w ścianach, lampy nad każdym fotelem, siedzenia wysuwane do pozycji półleżącej... Szkoda, że widział go pan tylko z zewnątrz. Samo pudło niewiele się zmienia. Ale nic straconego, skoczymy zaraz do fabryki".

— „Kiedy jeszcze studiował widywaliśmy się chyba tylko we śnie — wtrąca pani Łabuzińska. A później wchłonęła go bez reszty fabryka niczym tryby archaicznych machin z Włocławka".

Było ich czterech: Mietek, Roman, Krzysztof i Staszek, i rzecz w tym, że żaden z nich nie miał po co siedzieć w domu, choć każdy z innego powodu. Czuli się jeszcze uczniakami, to fakt, dopiero co ukończyli bowiem gimnazjum mechaniczne, lecz z drugiej strony zdawali sobie sprawę z tego, że dwadzieścia lat do czegoś zobowiązuje, że trzeba szybko wyrosnąć z krótkich portek i o dalszej nauce wolno im marzyć tylko wtedy, jeśli potrafią łączyć ją z pracą zawodową.

Niestety, we Włocławku trzeba by na tym, co osiągnęli, poprzestać. A tego im było stanowczo za mało. Toteż, gdy do gimnazjum nadeszło pismo z poznańskiej fabryki, zapewniające absolwentom pracę i kontynuowanie nauki w liceum przyzakładowym, uchwycono się tego rozpaczliwie jak jedynej deski ratunku. Chętnych, jak zwykle, nie brakowało, ryzykantów znalazło się tylko czterech.

Rodzice Staszka mieszkali w Bydgoskiem, na wsi. Urodził się tam, tam też pracował w majątku niemieckim, a potem w cukrowni. Ale w domu nigdy się nie przelewało. Nie tylko dlatego, że wojna. Stary, schorowany ojciec przestał pracować, w domu, oprócz Staszka, trzy młodsze siostry... W czterdziestym piątym roku Staszek wyjechał do wujka we Włocławku. Był to starszy, samotny człowiek, urzędnik sądowy i bratankiem zaopiekował się jak synem. Staszek mógł się wreszcie poczuć dzieckiem, mającym prawo do teczki i piórnika. W 1939 roku dotarł co prawda do piątej klasy, lecz przez całą wojnę nie było nawet czasu, aby zajrzeć do książki. Praca trwała od świtu do zmierzchu, latem od szóstej rano do ósmej wieczór, zimą — od szóstej do trzeciej po południu. Nie obeszło się także bez wywózki na Hel, do pracy przy rozładunku statków. Zatem dopiero teraz po kilkuletniej przerwie zabrzmiał dla niego ponownie dzwonek na lekcję. Staszek robi w przeciągu trzech miesięcy szóstą klasę i, za namową wujka zapisuje się do gimnazjum ogólnokształcącego. Wszakże — nie na długo. Po trzech miesiącach na wieść o organizowaniu gimnazjum mechanicznego przenosi się do nowej szkoły wraz z grupą kolegów. Jest urzeczony techniką, pracą przy maszynach — bodaj od chwili podjęcia pracy w cukrowni. Wujek przyjął bez aprobaty tę decyzję, ale i bez sprzeciwu. Zbyt dobrze znał gorzki smak zawodu narzuconego, niechcianego. Sam przecież przez całe życie miał o to żal do swego ojca.

Staszek pogrążył się więc po uszy w nauce i pracy. A zajęć nie brakowało. Trzeba było oczyścić z amunicji szpital, adaptować go dla celów szkolnych, zwozić narzędzia, instalować maszyny.

Otwarcie warsztatów mechanicznych, uruchomienie młota — to wydarzenia, którymi wymierzało się życie szkoły i własny los. Staszek był wszędzie pierwszy. Kiedy przy ustawianiu młota ciężki odprysk ugodził go w twarz, zalał się krwią, lecz nie zapłakał. Majster chwycił go w ramiona.

— Ten już ma papiery na czeladnika w kieszeni — wykrzyknął.

Głęboka blizna na lewym policzku poświadczała to dowodnie..

W tym czasie umarł nagle na serce wujek. Otwierano liceum mechaniczne. Staszek nie umiał się oglądać na pomoc ciotek. Zwłaszcza, że siostry dorastały i właśnie im, bardziej niż jemu, potrzebna była teraz pomoc. Uczepił się więc, podobnie jak inni, tego pisma z Poznania. Był duchem sprawczym wyjazdu.

Miasto urzekło ich z miejsca. W lipcowym słońcu nawet gruzy i kikuty wypalonych domów były do przyjęcia. Oszołomieni jego rozległością, żywem tętnem śródmiejskiego ruchu dotarli wreszcie na ulicę Jarosława Dąbrowskiego, do WIEPOFAMY. Ale tam nie umiano im nic powiedzieć o piśmie, które wyszło z ich fabryki. Chłopcy popadli w przygnębienie.

— Idźcie na Wildę, do Cegielskiego — poradzono im.

Posłuchali rady. Nie mieli zresztą innego wyjścia. Popychali się nawzajem przed drzwiami wydziału personalnego, w końcu wtargnęli całą grupą, przygotowani na najgorsze. Tymczasem miła niespodzianka: mogą pracować, miejsca się znajdą, a od września otwarte będzie liceum mechaniczne dla pracujących.

— No i jak panowie? — zapytał kierownik działu.

Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

— Decydujecie się?

— „Dokładnie 16 lipca 1947 roku podjąłem pracę jako tokarz — opowiada Łabuziński. W fabryce obrabiarek (dzisiejsze W-4), a od września naukę w liceum mechanicznym. Od tej pory wszystko zaczęło się toczyć precyzyjnie i bez przestanku jak w automacie: sześć dni szkoła do południa, praca po południu — sześć dni praca do południa, szkoła po południu. Szkoła i praca, praca i szkoła. Nie było rozdziału pomiędzy jednym a drugim. I tu i tam więcej się wtedy słuchało niż mówiło. Po raz pierwszy w życiu spotkałem się przecież z tak potężnymi zakładami i nową, całkiem inną techniką, wobec której maszyny z jakimi miałem do czynienia we Włocławku — potężnych rozmiarów urządzenia z mechanizmami na wierzchu, mogącymi w każdej chwili wkręcić w swoje tryby całego człowieka — wyglądały jak maczuga przy pepeszy.

Mieszkaliśmy w internacie przy ulicy Świerkowej. Był to stary, rozsypujący się barak, w którym kiedyś gnieździli się niemieccy jeńcy, a gdzie później rezydował PUR. Ciasne, brudne pokoiki, zapchane piętrowymi łóżkami, potłuczone szyby w oknach, dziurawy dach, ściany podszyte wiatrem — oto co poprzedni lokatorzy zostawili nam w spadku. Stąd deszcz przeciekający na pościel, śnieg prószący do wnętrza przez nieoszklone okna, przestały w końcu dziwić kogokolwiek.

Jadło się, co było. Obiady w stołówce. Inne posiłki od okazji do okazji, z przydziałowym kilogramem rabanki co tydzień, jako niezapomnianym delikatesem...

— „Ale listy do domu i bliźnich — podjął — pisało się wielce podniosłym stylem, aby broń Boże nikt nie zechciał do nas przyjeżdżać. Wszak dzieci, którym się dobrze wiedzie na ogół rzadko się odwiedza. Ratowaliśmy zatem honor jak się dało, Poznania jednak nie podbiliśmy. Zbywam to żartem, lecz sprawa w istocie jest smutna. Proszę sobie wyobrazić, że spośród naszej dziesiątki z Włocławka, która w 1947 r. zapisała się do liceum, zaledwie dwóch je ukończyło, a tylko ja jeden pracuję nadal u Cegielskiego".

— Osierocono więc pana? — wtrąciłem.

— „Absolutnie. Co prawda odtąd każdego niemal roku przyjeżdżają nowi entuzjaści z Włocławka, wyjazdy do Poznania weszły już tam w zwyczaj, jednak nadal rzadko kto umie się tu zaczepić na stałe. Powody ucieczek w tamtych latach do domu były rozmaite, na ogół jednak równie mało poważne jak obecnie. Krzysztof nie dawał sobie rady z nauką, poszedł więc do Marynarki; Roman rozpił się; Kazika „zgubiły" kobiety, Władek rozchorował się, itd.

Największy żal mam wszakże do Józka. Wrócił po pół roku do domu, bo mama wmówiła mu, że ma za delikatną budowę dla takiej pracy. A wie pan w jaki sposób pomogłem mu dostać się do liceum? Ponieważ był słaby w matematyce i przewalił egzamin, zdjąłem okulary i w drugim terminie poszedłem za niego zdawać. W okularach byłem przez jakiś czas Łabuzińskim, bez okularów Józkiem. Wszystko na nic.

W 1950 roku Łabuziński pracując jako brakarz w fabryce parowozów, zapisał się do Szkoły Inżynierskiej. Była to decyzja ważka, oznaczała dalsze pięć lat wyrzeczeń, podjęcie znacznie cięższych niż do tej pory obowiązków. Nie zawahał się jednak. Zwłaszcza, że na parowozach (dzisiejsza fabryka silników), gdzie pracował w tym czasie, robotnicy bardzo życzliwie traktowali ambitnych uczniów i sami pilnowali, aby nie siedzieli oni w fabryce dłużej niż trzeba. No, idźcie już, zbierajcie się chłopcy — zachęcali. Nauka to najważniejsze.

Brzmiało to jak sportowy doping.

W tymże czasie — awans poprzedził dyplom. Nauka opłacała się zatem również i od tej strony. Młody technik przesunięty został do pracy w kontroli technicznej na stanowisko pomiarowca w fabryce narzędzi. Znowu „więcej się słuchało niż mówiło". Praca przy precyzyjnych aparatach mierzących (drogą optyczną) różne sprawdziany metalowe, przedstawiała już wysoki poziom kultury technicznej i wymagała nie tylko wiedzy, lecz także odpowiednich cech charakteru. Uczyła skupienia, umiaru, wytrwałości.

O ile więc do tej pory nauka zajmowała w życiu Łabuzińskiego miejsce naczelne, a praca „usługowe", odtąd stosunek ten uległ zasadniczej zmianie. Praca stała się sprawą główną, praca — jakby jej było mało — rozszerzona o udział w życiu związkowym i organizacyjnym fabryki.

— Poprzednio nie wiedziałem — wyznaje inżynier Łabuziński — że poza pracą i nauką można jeszcze coś robić. Nikt mnie tego nie nauczył. Ani szkoła średnia, ani wyższa nie przygotowuje człowieka do życia społecznego. Do tego trzeba samemu dojść, a może — dorosnąć".

3.

Po dwóch godzinach opuszczaliśmy wagonownię dokąd zaszliśmy tak jakoś „po drodze". Hala główna dygotała od uderzeń młotów, rozświetlona długimi, sypiącymi się twardo na beton, strumieniami iskier. Szeregi szarych wagonów zdawały się oczekiwać na sygnał do odjazdu.

— A do Włocławka jeździ pan nadal na każde wakacje? — zapytałem.

— Już tam nikogo nie mam — odrzekł dyrektor. — Siostry wyszły za mąż, pracują, matka z najmłodszą przeniosła się gdzie indziej. A przyjaciele. Wie pan jak to jest z przyjaciółmi. Wielu z nich się traci, robiąc tak zwaną karierę. Dlatego tak trudno godzę się z przysłowiem: „Przyjaciół poznaje się w biedzie". Wydaje mi się, że dopóki byłem tokarzem czy pomiarowcem łatwiej było o przyjaźń, niż teraz. „Przyjaciół poznasz w powodzeniu!" — to byłoby prawdziwsze. Zgadza się pan?

ŁÓDZKIE XX-LECIE

Biblioteka uniwersytecka

MYŚL. Rodziła się w miarę napływu nowych książek do maciupeńkiego pomieszczenia biblioteki uniwersyteckiej przy ul. Składowej. Wreszcie w połowie lat pięćdziesiątych kiedy już z poważnej części księgozbioru nie można było korzystać bo leżała zmagazynowana — podjęto decyzję budowy nowej biblioteki.

DANE. Budowę rozpoczęto w 1955 roku. Magazyn książek posiada jedenaście kondygnacji, całość mieści się na trzech tysiącach metrów kwadratowych powierzchni. Do budowy użyto m. in. 4 000 m² szkła. Biblioteka posiada dwie czytelnie po 115 miejsc i pawilon czasopism na 100 miejsc. Oprócz tego 124 inne pomieszczenia. Całość oświetla 5 000 lamp. Nowy gmach oddano do użytku w roku akademickim 1959/60. Dziś BUŁ mieści w swoich magazynach ponad 600 tysięcy książek, a roczne wpływy sięgają 30 tysięcy pozycji.

CZYTELNICY. Przede wszystkim studenci i pracownicy nauki. Ale także sakramentalni „inni" — pisarze, dziennikarze, pracownicy umysłowi... Jest ich razem — 6 732. W roku 1963 przewinęło się przez czytelnie i wypożyczalnię — 286 388 osób.

KOSZT. Około 40 milionów złotych.

PROJEKTANT. Inż. arch. Edmund Orlik.

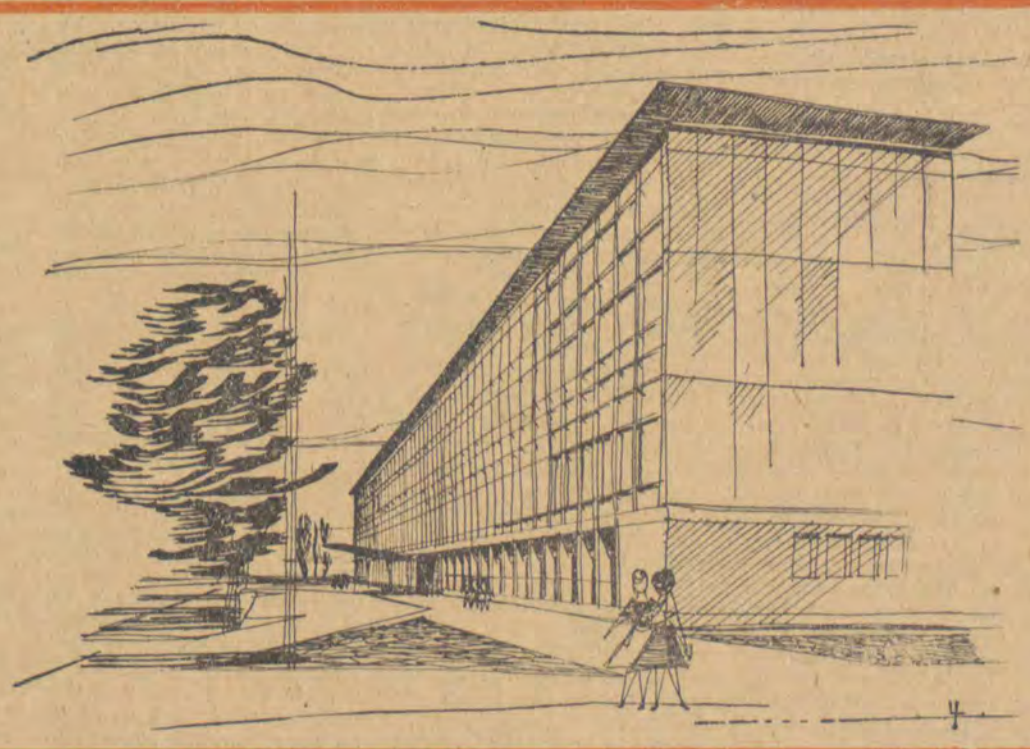

Rys. inż. arch. LESZEK ŁUKOŚ

TADEUSZ PAPIER

ŚWIĄTECZNE WSPOMNIENIA

Widziałem kopiec Kościuszki w Racławicach. Widziałem pole, na którym chłopi bili się z policjantami. Przy starym kopcu zwanym „zamczyskiem" rosły dwa drzewa. Nie wiem, czy stoją jeszcze dzisiaj. Może wymarzły w czasie zimy. Może je wcześniej ścięto. Powinny stać. Jeżeli są chore, powinno się je ratować. One były świadkami tamtych wydarzeń. Kopiec można oglądać z różnych stron. Ale najlepiej od tych drzew. Na tym polu pomiędzy kopcami w kwietniu 1937 roku chłopi obchodzili rocznicę bitwy racławickiej. Tutaj też chłopi bili się z policją. Zeszli się więc tutaj (wbrew zakazom władz), aby uczcić pamięć Kościuszki i Bartosza. Zeszli się także, aby jak pisał „Czerwony Sztandar" uaktywnić wieś do walki o gospodarcze i polityczne postulaty wsi. „Przekonanie, że jedynie walka nieugięta rozstrzygnie o obaleniu rządów sanacyjnej kliki — narzuca konieczność przeprowadzania akcji masowej w skali całego kraju". Tu więc rozegrała się bitwa. Stąd niektórzy chcieli ruszyć na Warszawę. Wokół tych drzew stali chłopi, kobiety i dzieci. Tu może był magazyn broni: polnych głazaków. Naliczono ich potem, rozrzuconych po całym polu kilka setek. Józef Bińczak opisuje jedno ze starć: „Kamienie latały w powietrzu. Niósł się krzyk, rosła wrzawa. Z łoskotem spadały kołki i kije na stalowe hełmy... Kobiety i dzieci bez przerwy donosiły kamienie — doskonałe pociski... Aż wreszcie gromady chłopów wyparły oddziały policyjne ze starego kopca, z płaszczyzny między jednym kopcem, a drugim i na koniec opanowały nowy kopiec, wznoszący się wysoko w kształcie czworobocznej i bardzo stromej piramidy". W tym czasie walka toczyła się także w środku wsi Racławice. W końcowej fazie starć, kiedy przybyły nowe posiłki policyjne, policjanci użyli broni. Padło dwóch chłopów: Józef Karkowski i Wincenty Kowalski. Zmarł od ran Sarna z Rędzin. Nastąpiły aresztowania i sądy. Jeden z aresztowanych Mieczysław Kowalski mówi: „Mnie zamknęli z 18 na 19 kwietnia. Mówili w sądach... że za komunizm. Jak za komunizm to za komunizm..." „Czerwony Sztandar" z dnia 15 maja 1937 roku pisał, że nie pomogły zakazy policyjne obchodu racławickiego... Nie pomogły masowe areszty aktywniejszych chłopów jeszcze w przeddzień obchodu... Z dalekich nawet stron Małopolski, z Krakowskiego, Rzeszowskiego... a najliczniej zza Wisły od Koszyc i Korczyna przybyli tłumnie chłopi święcić uroczystą rocznicę walki chłopów z zaborcą i upomnieć się o swoje prawa. „Byli i tacy, którzy pół Polski przejechali, aby dotrzeć do Racławic. Jak podawał „Zielony Sztandar", oskarżony Jan Bury na pytanie prokuratora, skąd wziął się w Racławicach, wyjaśnił, że jechał z Sochaczewa przez Żyrardów, Radom, Kielce i Miechów..."

Jan Kosonóg jest sekretarzem Powiatowego Komitetu ZSL w Skierniewicach. Jestem u niego, jest także Wanda Szychowska, młoda działaczka ludowa (członek Plenum Powiatowego Komitetu). Szychowska pochodzi z Godzianowa. Godzianów znam, jest to wieś, która również leży na trasie moich wycieczek i badań. Pisałem o tej wsi, kiedy zawiązywała się tam spółdzielnia produkcyjna. Mówimy teraz o nadchodzącym święcie ludowym. Mówimy o charakterze tego święta, o jego głównych wątkach treściowych. Wymieniamy nazwiska chłopów, którzy brali udział w strajkach chłopskich przed wojną. Kol. Kosonóg pokazuje listę chłopów poległych w starciach z policją w latach 1932—1937. Lista ta, niepełna, obejmuje 102 nazwiska. Przeglądamy także nazwiska chłopów i działaczy ludowych skazanych wyrokami sądów za udział w strajku w 1937 roku. Lista, na której znajdują się nazwiska z całej Polski i dotycząca jedynie tych, na których wyroki były opublikowane w prasie ludowej, zawiera 617 nazwisk, w tym z Łódzkiego 33. Kol. Kosonóg pokazuje także listę chłopów, którzy zginęli w czasie wojny. Nie weźmie już nigdy udziału w pochodzie świątecznym Michał Wasilewski z Głuchowa, były poseł SL, radykalny działacz, którego zamordowali Niemcy. Wasilewski był jednym z organizatorów ruchu chłopskiego w Skierniewickiem, uczestnikiem wielu wieców. Ludzie pamiętają jego sylwetkę, kiedy przemawiał do chłopów na rynku w Skierniewicach. Stawał na wozie i mówił. Nie żyje Ludwik Kruk ze Skierniewic, współpracownik Wasilewskiego. Aresztowany przez Niemców, nie powrócił już do rodzinnego miasta. Nie żyje Jan Ciszewski, jeden z pierwszych organizatorów rad w konspiracji na terenie gminy Dolecк. Ciszewski miał śmierć tragiczną: zginął już po wyzwoleniu od kuli bandyty. Tadeusz Trębski z Brzozowa, członek Plenum, radykalny działacz, brał udział w strajkach. Trębski ma za sobą ciekawą kartę, tej karty przede wszystkim szukam w rozmowach i wspomnieniach: współpracował z robotnikami, dowoził im żywność, kiedy strajkowali.

Tę samą kartę posiada Jan Skoczek z Nowego Dworu. Skoczek współpracował z Władysławem Kowalskim i utrzymywał łączność z komunistami. Skoczek lubi opowiadać o tej współpracy. Spotykali się z Kowalskim w Chełmcach (gromada Jeruzal), z ludowców do Chełmiec przyjeżdżał także Gwiazdowicz (nie żyje już). Komuniści z Chełmiec, chłopi z okolicznych wsi byli dla Kowalskiego pierwowzorami bohaterów książkowych. Albowiem twórczość tego pisarza była najmocniej związana z życiem. Kowalski dążył do stworzenia pełnego obrazu współczesnej mu wsi, ukazywał różnorodne fragmenty codziennej pracy i walki chłopa. Zagadnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego wybijało się na plan pierwszy w jego książkach. Chłopi „W Grzmiącej" nie rozumieją sztucznego podziału „na socjalistów i ludowców". Nie rozumieli tego podziału ani Michał Wasilewski, ani Jan Ciszewski, ani Jan Skoczek, ani chłopi racławiccy, ani ci wszyscy, którzy spotykali się ze sobą w głuchych wsiach, szukali dróg wyjścia, otoczeni zdradą i narażeni na szykany.

Oto jest ulica Rawska w Skierniewicach. Jan Kosonóg mówi o tej ulicy. Dla przygodnego turysty — ulica to nieciekawa. Ale Kosonóg mówi ciepło o mieście, o ulicy, o ludziach. Była to przed wojną ulica tajnych spotkań. Zbierali się tutaj ludowcy i komuniści. Układali plany współpracy. Na tej ulicy Niemcy rozstrzelali w czasie wojny 23 patriotów, na rynku powiesili 10, a w niedalekich Lipcach — 6.

Znowu jestem w Racławicach. Polną ścieżką idą chłopcy i dziewczęta. Niektórzy mają czerwone tarcze na rękawach. Młode pokolenie, które nie zna wojny, ani nie zna złej przeszłości. Mijają mnie obojętnie, nie dziwi ich widok obcego, który stoi na polu. Niejeden tutaj przychodzi postać i popatrzeć. Racławice, to sławna wieś. Ja również nie zaczepiam ich, nie pytam o wydarzenia ze wsi, nie egzaminuję z przeszłości, która dla nich jest historią, ale historią żywą, bo dotyczy rodzinnej wsi. Hasło: „Racławice" jest tym hasłem, które porusza wiele spraw. Umyślnie wysuwam ten motyw racławicki na czoło mojego świątecznego reportażu. Pisałem przed paru laty opowiadanie o bitwie racławickiej. Rozmawiałem z chłopami, studiowałem dokumenty. Ukazały się wtedy prawie równocześnie dwie książki o strajkach chłopskich: jedna wydana przez „Książkę i Wiedzę", druga przez „Czytelnika". Właśnie w tej drugiej („Przed świtaniem") obok Jana Wiktora, J. Jaźwieca, M. Słomczyńskiego i S. Zielińskiego ukazało się to opowiadanie. Powołuję się teraz na tę książkę, ponieważ nawiązuje ona do atmosfery walk chłopskich z lat 1932—1937 (Racławice, wypadki sierpniowe w Kasince Małej, pacyfikacje w Majdanie Sieniawskim, pow. Jarosław, Muninie, Jabłonce). Chłopi przejmują wtedy proletariacką formę walki — strajki. I zarazem z formą przejmują treść: walkę o zmianę ustroju. Nie wszyscy oczywiście, ale na scenie wiejskiej pojawiają się obok radykalnych chłopów — komuniści. KPP występuje na wsi „w imię wspólnej walki o chleb, wolność i pokój... Żadna siła nie jest w stanie izolować komunistów od mas i ich braci klasowych, sojuszników w walce, jakimi są szeregowi aktywiści, działacze PPS lub Stronnictwa Ludowego". Delegat fornali Michalak mówi do chłopów przed marszem do Racławic: „Do dwudziestego roku życia byłem niepiśmienny. Moja szkoła to służba. Teraz jestem fornalem. Takich jak ja są miliony. Bieda na wsi doszła do niemożliwości. Ludzie nie mają co jeść nawet raz na dzień. Jeżeli jest trochę mleka, to nie ma na czym ugotować, względnie czym rozpalić. Nie ma na zapałki. Czeka się, aż gdzieś ukaże się dym z komina — tam się idzie i prosi o trochę ognia. Dzieci nagie, nie ma czym przyodziać, opiekunowie tych maleństw chodzą, szukają pracy; cieszyli się, że na wiosnę będzie robota przy drogach, na budowach. Przyszedł pierwszy kwietnia, a tu nie ma nic. Starsi bez bielizny, bez ubrania. Zdarza się, że dzieci są pozbawione słońca, bo są nagie. Muszą siedzieć w izbie. Jeżeli jest kura i zniesie jajko, matka posyła po nici, by pozszywać jakoś te łaty lub by kupić soli..."

Michalak nie mówi nic nowego. W latach przedwojennych na wiecach zwoływanych przez SL z okazji święta ludowego niektórzy chłopi przychodzili z czerwonymi sztandarami. Czerwone sztandary pojawiały się coraz częściej na wsiach i na rynkach małych miasteczek. Pojawiały się także w Skierniewicach, Piotrkowie, Tomaszowie. W roku 1932, kiedy w piotrkowskiej „Hortensji" wybuchł strajk okupacyjny, na pomoc robotnikom pospieszyli także i chłopi. „Przez dzień cały wjeżdżały do huty furmanki załadowane chlebem, kartoflami... Dużo artykułów spożywczych dostarczyło biedne chłopstwo, chcąc tym zaznaczyć swój współudział w strajku". Kiedy w roku 1933 w Tomaszowie wybuchł strajk, i kiedy robotnicy jednego dnia rzucili się do dzwonnic kościelnych i zaczęli bić w dzwony alarmując pobliskie wioski, chłopi pieszo i konno spieszyli do miasta, „by bronić robotników". W tym samym roku chłopi dostarczali chleba strajkującym robotnikom pabianickim u Kruschego, Endera, Urbacha. Kol. Kosonóg opowiada o marszu chłopów na Rawę Mazowiecką. I można snuć wiele jeszcze opowieści o tych dniach, kiedy rodziła się przyjaźń robotników i chłopów. I nie tylko przyjaźń: kiedy na naszej wsi rodziła się nowa prawda o życiu.

Stoję właśnie u bram Rawy. Na szosie prowadzącej do miasta ruch. Mijają mnie wozy i samochody. Widzę kobiety ze wsi w buraczkowych welniakach poprzecinanych czarnymi i niebieskimi prążkami. Coraz rzadziej spotyka się na wsi stroje ludowe. Ale Rawskie należy do tych okolic, gdzie twórczość ludowa w zakresie tkactwa i hafciarstwa jest wciąż żywa. Ale nie o to mi chodzi. Stoję przecież na tej samej drodze, na której przed laty wstępu do miasta bronili policjanci. Ta droga również należy do naszej tradycji. Ta droga jest również znakiem — hasłem, jak Racławice, jak Tomaszów, jak Piotrków. I tą drogą w dniu święta ludowego popłyną obok siebie czerwone i zielone sztandary.

NA WARIACKICH papierach

Był to proces tuzinkowy, w którym przerwę na naradę sędziowską robi się przez kurtuazję dla zasad postępowania. Stali kibice sądowi, których zawsze bez liku w fortecy Temidy, uciekają z takich rozpraw jak szczury z tonącego okrętu. Z daleka powiało nudą.

Oskarżona stawiła się sama. Bez milicyjnej asysty i bez obrońcy. Szło bowiem o 300 zł. Sumę tę na 3 dni przed miesięczną wypłatą młoda dziewczyna wzięła z kasy przedsiębiorstwa. A już następnego dnia przeprowadzono kontrolę.

W ten sposób trafiła do sądu sprawa, którą z punktu widzenia obowiązujących ustaw zakwalifikować trzeba jako przywłaszczenie powierzonego mienia społecznego. Każdemu z tych czterech określników odpowiada jakiś ułamek kary. Prawo lubi bowiem precyzję. Wyrok 6 miesięcy więzienia może niezupełnie odpowiadał rozmiarom niebezpieczeństwa, które zagrażało społeczeństwu ze strony oskarżonej. Niższego wymiaru kary prawo nasze, jednak za tego rodzaju czyn nie przewiduje.

W tym miejscu powinienem pokazać swoje pazury rasowego publicysty. I rąbnąć sprawiedliwość ciosaną toporem. Domagać się sprawiedliwości elastycznej, dostosowanej do indywidualnych przypadków. Lub też porównać wysokość szkody wywołanej przez oskarżoną powiedzmy z kosztami postępowania. Krótko mówiąc podważać wyrok jeśli nie od strony emocjonalnej, to przynajmniej od ekonomicznej. Co się traci, a co zyskuje. Nauczyć rachunków cały wymiar sprawiedliwości. Niestety, zadanie to przerasta moje zdolności. Całe życie źle stałem z arytmetyki. Nauczyciel co drugą lekcję wpisywał mi do zeszytu maksymę „matematyka jest królową wszystkich nauk". Zgadzałem się z pedagogiem, ale pociągały mnie zajęcia uboczne. Najchętniej wyglądałem przez okno.

Czegoś podobnego doświadczyłem na procesie. Mało co patrzyłem na oskarżoną. Uwagę moją przykuł pulchny człowieczek o małych, świdrujących oczkach. Mógł mieć, na oko, ze czterdzieści parę lat. Sędziów widocznie też interesowała sprawa jego wieku, spytali go wprost. Okazało się, że w rzeczywistości był jednak nieco starszy. Parę lat, ale zawsze...

Był to człowiek wprost nieoceniony dla sprawy, obdarzony kolosalną pamięcią. Ludziom z podobnymi kwalifikacjami powierza się zazwyczaj funkcję świadka oskarżenia. To był świadek koronny. Szczegółowo opisał sądowi przebieg zdarzeń: jak w nim zrodziło się podejrzenie nadużycia, zachowanie oskarżonej w momencie przeprowadzania kontroli. Z zeznań tych wynikało, że oskarżona miała czelność przyznać się od razu. Mimo to postanowiono przeprowadzić drobiazgową kontrolę. Człowiek, który na samym wstępie przyznaje się do popełnienia mniejszych rzeczy, zdolny jest przecież do popełnienia większych. To trzeba było ustalić. Z całą wnikliwością. Okazało się jednak, że w safesie brakuje rzeczywiście tylko 300 zł.

Oto stan faktyczny, który był przedmiotem rozważań sądu. W tych właśnie granicach. Oskarżona potwierdziła wszystko. Na co zużyła pieniądze? Niby śmieszne pytanie. Ot drobiazg, kupiła sobie zagraniczne leki, choruje na gruźlicę. To się po części zgadzało, zaświadczenie lekarskie podpięto do akt. Dalsze wyjaśnienia miały już znaczenie pozaprawne. Sąd wysłuchał ich z ludzką wyrozumiałością. I wtedy znowu można było dowiedzieć się ciekawostek o pełnej roli koronnego świadka oskarżenia. Tak, kasjerka zwróciła się do niego o pożyczkę. Prosiła o 200 zł więcej niż delikatnie mówiąc pożyczyła sobie z kasy. Tak, miał te pieniądze i chętnie by jej pożyczył. Ale na procent. A że była biedna zaproponował rekompensatę innego rodzaju. Z dobrego serca, bo wiedział doskonale, że stan majątkowy oskarżonej nie pozwoliłby jej na płacenie procentów w pieniądzach. Mogła tylko w naturze. U niej albo nawet u niego, ma niekrępujące wejście.

Kiedy o tym mówił, stanął mi przed oczami art. 205 naszego staruszka kodeksu, który wspomina mimochodem, że każdy kto przez wyzyskanie krytycznego położenia doprowadza inną osobę do poddania się czynowi nierządnemu podlega karze więzienia. No cóż, widocznie kodeks zestarzał się zupełnie. Zresztą czegóż to w końcu chce ten wariat, Skryba, kultu dziewictwa? Publicysta, któremu kojarzą się przesądne artykuły, nie zasługuje na to zaszczytne miano. Wariat. Tak, wariat pasuje w tym wypadku najlepiej. Bo sąd i prokurator zachowali rozwagę. Zwłaszcza prokurator zapomniał zupełnie o istnieniu inkryminowanej normy kodeksowej. Oskarżona? Myślę, że nie zdawała sobie sprawy z propozycji świadka oskarżenia. Albo raczej z jej kwalifikacji prawnej. Bo co świadek miał na myśli rozumiała jednak na tyle dobrze, że wolała narazić się raczej na konsekwencje procesowe niż podeptać własną godność.

I tak, chcąc nie chcąc wchodzimy na śliską drożynę moralności seksualnej. Od wieku X, kiedy to arabski kronikarz Ibrahim ibn Jakub zjeździł kraje słowiańskie zmieniło się co nieco. Może jednak rozbudzę czyjąś tęsknotę przypominając taki fragment relacji:

„Panna, gdy pokocha jakiego mężczyznę, udaje się do niego i zaspokaja u niego swoją żądzę. A kiedy małżonek poślubi dziewczynę i znajdzie ją dziewicą, mówi do niej: gdyby było w tobie coś dobrego, byliby cię pokochali mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogoś, kto by wziął twoje dziewictwo. Potem ją odsyła i uwalnia się od niej".

To było w wieku X, kiedy się nie prowadziło skomplikowanego podwójnego rachunku moralnego. Nie tak dawno trzydziestodwuletni byczek-kierowca szukający w knajpie dziewczynki „na podrywkę" zwierzył mi się z głęboką zadumą, że pod żadnym pozorem nie wziąłby sobie za żonę kobiety, jak to się powiada, naruszonej przez innych. W tym wypadku on musi być pierwszy!

Dobrze jeszcze, kiedy podobne zasady wyznaje się w knajpie i kandydatek na podrywkę szuka się w kręgu knajpiarsko-dziwkarskim. Kiedy zachowuje się zasadę równowagi stron. Kiedy nie depcze się cudzej godności tylko dlatego, że już tam nie ma nic do zdeptania. Można sobie westchnąć, ale reszta jest w końcu sprawą, jak to się pisze w protokołach dyplomatycznych, Wysokich Umawiających się Stron.

Naszym bohaterom podobne rozwiązanie jednak nie wystarcza. Gotowi wykorzystać każde, najskrajniejsze nawet położenie. Lubią gwałcić cudzymi rękami. Trudną sytuację życiową ofiary, stanowiskiem, które zajmują w życiu. Ostatnio wdałem się w rozmowę ze studentką pewnej uczelni artystycznej, która jest prześladowana przez asystenta. Żartobliwie zapewnia ją, że będzie miała kłopoty z zaliczeniem ćwiczeń, jeśli nie odwiedzi go w jego sublokatorskim mieszkaniu. Facet dysponuje pokojem z niekrępującym wejściem i jest w potrzebie gdyż nie tak dawno powrócił znowu do stanu kawalerskiego. Są to żarty, które mają w sobie posmak groźby. Oj, ciężko się żartuje podwładnemu zależnemu od swego zwierzchnika.

Tak, proszę państwa, artykuł 205 wymaga przypomnienia. Od zdeptania godności człowieka do prostytucji jest tylko jeden krok. „Później to już idzie jak po sznurku" — wyznała młodociana prostytutka pracownikowi Katedry Kryminologii w stolicy. Do zagadnienia prostytucji powrócę. Tymczasem, cóż, domagam się sankcji dla łobuzów. O podwójnej moralności i bez moralności. Jest to sprawa odpowiedniej postawy sądów i prokuratury, luki w prawie nie ma. Jest tylko mur obojętności i lekceważenia. Którego pewnie jedną głową przebić nie będzie można.

Skryba

Uwaga! SZPIEG...

Mgła jest gęsta i otula miasto jakby watą. Głucha noc. Biura konstrukcyjne, laboratorium i pomieszczenia administracyjne toną w ciemnościach. Stalowe drzwi zaryglowane, a te, które chronią miejsca szczególnie tajne — są nawet opieczętowane. Mysz by się tu nie prześlizgnęła, a cóż dopiero człowiek. A jednak... Na czwartym piętrze, w jednym z pokoi ogromnego gmachu błyska mdle światełko elektrycznej latarki. Z półmroku wynurza się zarys męskiej sylwetki. Nieprzemakalny płaszcz, dłonie w rękawiczkach, szerokie rondo kapelusza zakrywa twarz. Mężczyzna porusza się pewnie i bez szmeru. Podchodzi do drzwi, mały krążek światła odnajduje jeden zamek, drugi, cichy szczęk sprężyn i tajemniczy intruz tonie w mrokach korytarza. Szybko upora się z drzwiami, mija pokój za pokojem i coraz bardziej zbliża się do sanktuarium, gdzie w sejfie unikalnej konstrukcji spoczywa niezwykle ważna dokumentacja techniczna...

...W tym samym czasie, w piwnicy domu, przy ogromnym stole siedzi młody mężczyzna. Przed sobą ma szklany pulpit, a na nim szczegółowy plan pomieszczeń gmachu. W tej chwili śledzi z natężoną uwagą czerwony punkt, poruszający się po szklanej tafli. Powtarza on dokładnie drogę tajemniczego włamywacza, który kilka pięter wyżej pewnie zmierza do chronionego sejfu. Oto czerwony punkcik gaśnie w jednym kwadracie i już zapala się w następnym. Mężczyzna przy pulpicie wie, iż nieznajomy przeszedł teraz z jednego pokoju do drugiego... Od czasu do czasu mówi coś do mikrofonu i dalej obserwuje drogę świetlnego punktu. Ale oto niepożądany gość jest już na miejscu: w półmroku majaczą masywne cielska sejfów...

I w tym momencie uderza go potok ostrego światła.

— Ręce do góry!

Nieznajomy mruży oczy i spokojnie sięga do kieszeni. Wyjmuje papierosa i pyta.

— To ty Jackson?

Szczęka bezpiecznik rewolweru...

* * *

Była to tylko kontrola urządzeń alarmowych, w jednym z wielkich koncernów amerykańskich. Do walki ze szpiegostwem przemysłowym, szeroko uprawianym w krajach kapitalistycznych, wprzęga się, obok innych elementów walki, również najnowsze zdobycze techniki.

TAJEMNICE „COCA-COLI"

Miliony ludzi w wielu krajach świata piją „Coca-colę". Recepturę tego napoju trzyma się w super ścisłej tajemnicy. Dość powiedzieć, iż jest ona ubezpieczona na sumę 43 milionów dolarów! Zestaw składników „coca-coli" przechowuje się w jednym jedynym egzemplarzu w sejfie głównego chemika koncernu. Poza nim dostęp do sejfu ma tylko jego najbliższy współpracownik. A i to wyłącznie wtedy, gdyby z głównym chemikiem coś się stało.

Niemniej troskliwie chroni tajemnic swego napoju, konkurujący z „Coca-colą", koncern „Pepper". Spośród wielu tysięcy ludzi zatrudnionych w fabrykach tego koncernu tylko 4 osoby znają recepturę napoju. Tym „wyświęconym" z tysięcy zabrania się np. latać razem w tym samym samolocie. Bo a nuż by wypadek...

Znawcom win nie są obce wyroby włoskiej firmy „Campari". Wina z tą etykietą eksportuje się do 97 krajów świata, ale tylko jeden człowiek zna ich recepturę! Zasadnicze procesy produkcyjne odbywają się pod jego osobistym nadzorem, a wszystkie dane związane z produkcją przechowuje w głowie, uważając widocznie ten sposób chronienia tajemnic za najpewniejszy...

Wielkie firmy chwytają się najprzeróżniejszych sposobów, żeby tylko uchronić swe tajemnice produkcyjne od ciekawych oczu konkurentów. Nowo przyjmowanych pracowników bada się niezwykle drobiazgowo, korzystając z usług agencji detektywistycznych. Angielskie biuro detektywistyczne „Barnes" stosuje w takich wypadkach nawet tzw. „wykrywacze kłamstwa". Wydawałoby się, że tak gęste sita odsiedzą nasyłanych szpiegów.

Tylko teoretycznie...

ŚLADY PROWADZĄ DO WŁOCH...

Wyprzeć konkurenta i opanować jego rynek — to znaczy dać lepszy towar i pracować szybciej i taniej. Głowią się nad tym tysiące ludzi w licznych laboratoriach i instytutach naukowo-badawczych, a wyniki tych prac są trzymane w najgłębszej tajemnicy. Jednakże badania te kosztują moc pieniędzy. Czy nie prościej więc tajemnice ukraść?

Cudze sekrety produkcyjne kupują najczęściej firmy farmaceutyczne. We Włoszech np. prawo nie chroni patentów na leki. W tej sytuacji poszukiwania nowych receptur nie mają sensu, gdyż w praktyce, już nazajutrz, konkurent miałby ją w kieszeni. Za darmo. Bardziej się opłaci kupić tajemnicę produkcji nowego specyfiku za granicą, niż wyrzucać pieniądze na badania w kraju. Dlatego to ślady kradzieży wielkich odkryć farmaceutycznych prowadzą najczęściej do Włoch.

Szereg amerykańskich firm farmaceutycznych złożyło protest w departamencie stanu USA, że Pentagon systematycznie kupuje za granicą medykamenty, których recepturę skradziono amerykańskim firmom farmaceutycznym. Resort obrony, by najmniej nie zaprzeczył, iż woli leki i preparaty zagraniczne. Wyjaśniono to całkiem prosto: importowane medykamenty i leki, zestawiane w/g receptury skradzionej amerykańskim firmom są dużo tańsze od amerykańskich. Na przykład cena 10 tabletek pewnego rzadko spotykanego leku produkcji amerykańskiej kosztuje 16,76 dolara. Te same tabletki wyprodukowane we Włoszech i sprowadzone do USA kosztują zaledwie 0,13 dolara.

„Szpiegostwo przemysłowe — pisze jeden z wielkich dzienników amerykańskich — **stało się obecnie doskonałym biznesem. Płynące stąd dochody są wręcz fantastyczne. W wyniku działalności szpiegowskiej firm konkurencyjnych, znana amerykańska firma farmaceutyczna „Leader" ponosi ok. 15 milionów dolarów strat rocznie. Dochód jej włoskich konkurentów powinien zatem zbliżać się do tej sumy. Ile trzeba było zapłacić za kradzież receptur, przynoszących tak kolosalne dochody? Niewiele. Zaledwie 60 tysięcy dolarów. Za taką bowiem sumę włoska firma kupiła od pracownika „Leader'a" receptury wysokich antybiotyków".**

Niekiedy tajemnice kosztują cokolwiek drożej. Oto pewien pracownik firmy „Merck" sprzedał (także włoskim konkurentom) pewne sekrety swojej firmy za 500 tysięcy dolarów. Można się tylko domyślać, ile tym razem zarobiła na tym włoska firma.

CZARNY RYNEK SKRADZIONYCH TAJEMNIC

Szpiegostwo przemysłowe, podobnie jak wielki biznes, nie zna granic państwowych. Skradzione tajemnice przechodzą nierzadko przez wiele rąk, nim trafią na kupca.

Wiadomo, że istnieją dwa wielkie centra szpiegostwa przemysłowego. Jedno z nich znajduje się „podobno gdzieś w Szwajcarii", a drugie „podobno gdzieś w Japonii". Czarne rynki, na których się sprzedaje i kupuje takie informacje mają swych emisariuszy, którzy rozjeżdżają po całym niemal świecie. Wszechobylscy agenci mają świetne rozeznanie w finansowych i towarowych możliwościach tej lub innej firmy, w kontraktach i dalszych planach oraz nad czym pracują obecnie ich laboratoria, i jakie nowe produkty zamierzają one rzucić na rynki świata. Jeśli tajna informacja o jakiejś firmie trafia na listę czarnego rynku od razu zdobywa określoną wagę, w zależności od bieżącej koniunktury.

Oczywiście, amatorzy na kupno kradzionej tajemnicy uważają za stosowne nie pokazywać się w tym nader podejrzanym miejscu. Solidni biznesmani, dyrektorzy koncernów, właściciele wielkich firm i przedsiębiorstw kierują tam swych zaufanych ludzi, najczęściej prawników.

ASY PRZY ROBOCIE

Wielki biznes korzysta często z pomocy prywatnych agencji detektywistycznych, które oficjalnie trudnią się szpiegostwem przemysłowym. Ma ja swoje szyldy, zajmują obszerne lokale. Jedna z nich, międzynarodowa agencja detektywistyczna „Barnes" ma specjalny oddział, który pracuje wyłącznie dla celów szpiegostwa przemysłowego. W samym Tokio działa obecnie 380 biur detektywistycznych, trudniących się tylko kradzieżą tajemnic przemysłowych. Zatrudniają one ponad 10 tysięcy ludzi.

Wspomniane biura i agencje dysponują kadrą wywiadowczą o wysokich kwalifikacjach. Na przykład w angielskiej agencji „Secular" w sekcji szpiegostwa przemysłowego pracuje 27 byłych oficerów służby bezpieczeństwa.

Oto jak opisuje pracę takiego agenta amerykański dziennik „Newsweek".

„Człowiek ten, wraz z robotnikami rannej zmiany stanął u wrót fabryki. Po odbiciu karty w automatycznym zegarze udał się natychmiast do swego oddziału fabrycznego. Z miną pewną siebie pochodził po oddziale, zajrzał tu, zajrzał tam, po czym wyszedł z fabryki tymi samymi drzwiami, którymi wszedł. Na ulicy wyjął notes i zaczął coś notować".

To właśnie as wywiadu przemysłowego nr 1. Nazywa się Elmont Camming. Ten 65-letni, niekoronowany król szpiegów przemysłowych, jest pełen zawodowego optymizmu. Twierdzi, iż nie ma takiej tajemnicy przemysłowej, do której nie znalazłby drogi.

— Szpiegostwo — mówi Camming — to integralna część wielkiego biznesu, i ja robię to lepiej, niż inni...

Zdarza się, że przeniknąwszy do fabryki Camming przedzierzga się szybko w funkcjonariusza straży pożarnej, co pozwala mu przetrząsnąć każdy kąt jakiegoś oddziału fabrycznego. Czasem jest reporterem, innym znów razem inspektorem, czy elektromonterem. Jednego razu myszkował we wszystkich oddziałach pewnego przedsiębiorstwa w asyście policjanta. Dzień przedtem, Camming przyszedł do komisariatu policji i oświadczył, iż napadnięto go na ulicy. Dodał przy tym, że napastników było kilku i że z urywków ich rozmowy jakoby wywnioskował, iż jeden z nich pracuje właśnie w tym przedsiębiorstwie.

— Widział pan jego twarz? — spytał oficer dyżurny.

— Oczywiście.

— I mógłby pan poznać tego człowieka?

— Z całą pewnością.

I oto w asyście znudzonego policjanta dokonał Camming skrupulatnego przeglądu interesującego go zakładu.

HANDEL ŻYWYM TOWAREM

„Najbardziej wdzięcznym polem do popisu dla agentów wywiadu przemysłowego — pisze dziennik „Times" — **są rejony przemysłu naftowego Stanów Zjednoczonych, gdzie za mapy geologiczne płaci się bajońskie sumy".**

Pewien król naftowy — jego nazwiska nie wymienia prasa amerykańska — płacił geologom pięciu konkurujących z nim kompanii naftowych, po 500 dolarów miesięcznie za to, że dostarczali mu systematycznie tajne informacje o nowych złożach naftowych na konkurencyjnych terenach roponośnych.

Gdy nie można kupić dokumentów, można się pokusić o kupno samego posiadacza cennej informacji. Tak się nieraz robi. Pewnemu specjaliście w dziedzinie elektroniki zaproponowano pracę w konkurencyjnej firmie, obiecując mu 75-procentowe podwyższenie pensji. Zgodził się. Po sześciu miesiącach, kiedy wyciśnięto z niego wszystko co wiedział o eksperymentach w poprzedniej firmie, bez dłuższych ceremonii zwolniono go z pracy.

SZKOŁA NAJEMNIKÓW BIZNESU

Istnieją specjalne szkoły kształcące agentów wywiadu przemysłowego. W grudniu 1962 roku otwarto taką szkołę w Tokio przy instytucie ochrony przemysłu. Na pierwszy kurs przyjęto 50 młodych ludzi, skierowanych tu przez różne koncerny przemysłowe, które też opłacają ich studia. Dyrektorem szkoły jest wyższy zawodowy funkcjonariusz służby wywiadowczej Tukieko Isida, który karierę szpiega rozpoczął już w latach trzydziestych. Wszyscy wykładowcy rekrutują się z byłej, zawodowej kadry wojskowych. W ciągu 4 miesięcy słuchacze przechodzą pełny kurs służby wywiadowczej.

✡

Na etatach wielu dużych firm figuruje stanowisko kontrwywiadowcy. Zajmuje je zwykle były funkcjonariusz wywiadu wojskowego. Nierzadko takim „oficerem bezpieczeństwa" chroniącym tajemnice firmy, jest były policjant lub sędzia śledczy, który ma łatwy dostęp do kartoteki policyjnej i utrzymuje nadal ożywione stosunki z kolegami po fachu. Jego obowiązkiem jest zrobić wszystko, byleby tylko konkurująca firma nie dostała w swe ręce interesujących ją tajemnic przedsiębiorstwa.

W Anglii, taki „oficer przemysłowego kontrwywiadu" zarabia od 4 do 5 tysięcy funtów rocznie. Jest to dużo, ale firmy, nie mówiąc już o koncernach, idą na to bez zmrużenia oka.

✡

Dzień po dniu toczy się ta zakulisowa wojna. Wiodą ją ludzie nieznani ogółowi. I zresztą nie zależy im na tym, a jeszcze mniej potrzebne jest to ich mocodawcom. Są sprawy, których monopole strzega nie mniej, niż tajemnic produkcyjnych...

(Oprac. St.)

ELEONORA WIECZOREK

— Jeden z moich, stale podróżujących po świecie znajomych, przysłał właśnie kartkę z Rangunu. Proszę zobaczyć, napisał: „Pozdrowień tyle — ile pagód w Pagan". Wróciła Pani z Burmy, więc pewnie nie sprawi Pani kłopotu rozszyfrowanie tego zdania.

— Pagody — to burmańskie świątynie. Są tak nieodłącznie związane z krajobrazem, że jeżeli gdziekolwiek widzi się ich mniej, człowiek zaczyna mimo woli szukać oczyma dookoła. Pagody są bardzo różne. Te najbiedniejsze mają niewiele ponad 1 metr wysokości, a bogate przeszło 200 metrów. Ich kopuły są bielone lub pozłacane — błyszczą w słońcu i w deszczu. Podobno w Pagan, dawnej stolicy Burmy było przed wielu, wielu laty aż 9.999 świątyń. Z tego wniosek, że 9.999 słów serdecznych wraz z pozdrowieniami przesyła, sięgając do ludowych podań burmańskich, nadawca tej kartki z Rangunu.

— Jakie wiatry rzuciły Panią do Burmy — kraju w połowie swej powierzchni zarośniętego dżunglami?

— Zaprosiła mnie siostra, która mieszka tam od wielu już lat. Kiedyś żyła w kraju Szan pokrytym dżunglami, potem mieszkała w Pegu, teraz jest żoną pewnego sławnego człowieka i mieszka w Rangunie. Moja siostra czyta burmańskim studentkom różne nowinki z polskich czasopism. Najbardziej podoba się „Przekrój". Tylko niech pani nie pisze, bo zaraz wymienią nas w tej „przekrojowej" rubryce. Burmańskie dziewczęta interesują się europejską modą, chociaż same noszą swoje tradycyjne, narodowe stroje.

— Jak taki strój wygląda?

— Widziałam na ulicach Rangunu młode damy w długich spódnicach (z naszych polskich tkanin!) i bluzkach — bolerkach. Między zakończeniem bolerka musi być obowiązkowa „przerwa", mniej więcej pięciocentymetrowa. Musi być widać kilka centymetrów gołego ciała. A paryscy dyktatorzy mody tak się napracowali nim zaprojektowali krótkie bluzki — bolerka jako strój wytworny, zarówno plażowy, jak i wieczorowy, w pierwszym rzędzie dla znanych gwiazd filmowych.

— Czy to prawda, że w Burmie jest stosunkowo niewielu analfabetów?

— Istotnie. Po prostu Burmańczycy byli zawsze bardzo przywiązani do religii buddyjskiej i uczęszczali do szkół zakonnych, żeby móc potem czytać Biblię. No, a poza tym ludzie umiejący czytać obdarzani byli ogromnym szacunkiem. To rzecz jasna do nauki zachęcało. Dzisiaj w księgarniach w Burmie znaleźć można przebogatą, miejscową literaturę i liczne przekłady (polski Sienkiewicz!). Namiętność czytania „podsycają" jeszcze wędrowni sprzedawcy książek, którzy niby ci pielgrzymi trafiają do najbardziej zapadłych wsi.

— Jakiej rady udzieliłaby Pani łodzianom, którzy ewentualnie wybiorą się kiedyś do Burmy?

— Żeby nie jechali tam w miesiącach od maja do października. Burma leży w strefie klimatu monsunowego. Właśnie od maja do października deszcz leje prawie bez przerwy.

Rozmawiała:
H. B.

JÓZEF HEN

NAD RANEM

Dalszy ciąg ze str. 1

tej nocy wreszcie posiadła — dzięki mnie. Wodził zmęczonym spojrzeniem po ścianach. Jestem w pokoju hotelowym, czternastka, szaro, Tivoli, Graustadt, po polsku Siwowo — zbierał rozsypane fakty — umywalka, lustro, ręcznik, mydełko, o którym Anna mysłała, że jest „żydowskie". Żyję. Kobieta spała głęboko, nic ją nie obchodzą nasze męskie porachunki, spała ciepła i ufna, miała szczęśliwy pomysł, że się tu do mnie władowała, dzięki niej nie byłem przynajmniej tej nocy sam.

Wyskoczył z łóżka i poczłapał do umywalki. Pod powiekami czuł piasek, spałem najwyżej trzy godziny. Ale oni też nie lepsi. Smółka, ten się chyba wyspał, rzucił towarzystwo wieczorem i potem ani głowy nie wychylił. Płucząc usta Henryk łowił szmery z sąsiednich pokojów. Anna pewnie jeszcze spała, Czesiek trzasnął drzwiami, ktoś śpieszył korytarzem. Nie zdążę się ogolić. Nieważne, nie jestem Anglikiem, pójdę do piachu i niedogolony. Narzucił marynarkę, namacał pistolet i magazynek z nabojami.

Kobieta na łóżku poruszyła się. — Henryk? — powiedziała śpiewnie. Stał z dłonią na klamce. Muszę zdążyć pogadać ze Smółką. — Odchodzisz? — spytała.

— Widzisz przecież.

— Podejdź do mnie.

Cholera, spóźnię się. Kiedy oddawał kobiecie pocałunek, jego spojrzenie błądziło po ścianach pokoju.

— Muszę iść — powiedział wyzwalając się z jej ramion.

— Dokąd?

— Załatwić sprawę z kompanami.

— Uważaj, wyglądają na zbójów.

— Całkiem zwyczajni ludzie — powiedział. Zdziwiło go samego to stwierdzenie. Może dlatego powtórzył: — Tak, zupełnie zwyczajni faceci.

— Ten szoferak wygląda mi na zbója — upierała się.

— Smółka? Właśnie on jest po mojej stronie.

— Nie boisz się?

— Trochę.

— Ty jesteś odważny.

— Niekoniecznie.

— Ja wiem.

— Zostaw to — powiedział. — Już dosyć nachwalono się odważnych. Może byłoby lepiej, gdyby wszyscy byli tchórzami, co?

— Jak ten w okularach, co się boi choroby?

Henryk zastanowił się.

— Spróbuję się z nimi dogadać.

— Nic się nie bój — pocieszyła go — ty też jesteś niezły zbój.

— Oświęcimiak zrobi wszystko, o co go poprosze. Przez solidarność. Ten w okularach chyba też. Potem ułoże się z szefem.

— Dasz sobie radę. Co to za hałas? — spytała nasłuchując.

Henryk spojrzał przez okno. Ciężarówka. Zaraz zaczną ładować.

— Śpiesz się — ponaglila go.

Zbliżył się do łóżka i nachylił się nad nią. Spojrzała na niego z oczekiwaniem. Jej ciemne oczy wyglądały jak powleczone werniksem.

— Lubię cię, Janka. A wiesz dlaczego?

— Nietrudno zgadnąć.

— Nie, nie domyślasz się. Lubię cię, bo kazałaś mi się śpieszyć. Bo nie mówisz „zostaw ich w spokoju".

— Śpiesz się.

Wychodząc czuł na sobie jej wzrok. Pomyślał: coś po tej nocy zostało, coś więcej niż wzajemna wymiana usług.

Na korytarzu spotkał Rudłowskiego. Był niedomyty i nie ogolony, koszulę miał pomiętą, a okulary poplamione.

— Jak się spało? — spytał Henryk beztrosko.

— Zdaje się, że złapałem katar. Jak skończymy, wpadnę do apteki.

— Ładujecie?

— Robi się. A pan woli próżnować?

— Zaraz przyjdę — obiecał Henryk. — Smółka jest z wami?

— Nie widziałem go.

— Jeszcze śpi?

— Widocznie.

— Że też szef nie ściągnął go z łóżka!

— Szef jest na niego zły.

— Pójdę go obudzić.

— Chodźmy.

Podeszli pod drzwi Smółki. Były zamknięte. Henryk zastukał. — Zbyszek! — zawołał. Nie było odpowiedzi.

— Musiał się ulotnić — domyślił się Rudłowski.

— Dokąd?

— Dokądś. Posprzeczali się wczoraj z szefem.

— Tak?

— Wiem od szefa. Powiedział, że Smółka zbzikował.

— A o mnie nie mówił.

— O panu, że jest pan trudny, ale inteligentny, będzie pociecha. Chodźmy.

— Chwileczkę.

Podejrzenie zostało rozbudzone. Dostałem się między oprychów. Sam też wyglądam na zbója. Henryk wyjął z kieszeni wytrych i zaczął majstrować nim w zamku.

— Pan myśli...? — zdumiał się Rudłowski.

— Zaraz się przekonamy.

Zamek zgrzytnął i drzwi ustąpiły. Smółka leżał nieruchomy na łóżku. A to chryja — mruknął Rudłowski. Podeszli. Smółka leżał w tej samej pozycji, co wczoraj wieczór, kiedy tu Henryk zaglądał, jedną rękę miał wyciągniętą wzdłuż ciała, drugą złożoną na piersi, twarz żółta, zastygła w obojętności, obute nogi wystawały poprzez żelazne pręty łóżka. Jestem sam. Biedny Smółka, tak się bał piekła, chyba zostanie zbawiony.

Rudłowski przyjrzał się trupowi.

— Dostał w brzuch — stwierdził. — Myśli pan, że bolało?

— Nie wiem.

— Nie umiem znieść bólu.

— Chyba nie bolało, bo twarz ma spokojną.

— Szef załatwia takie rzeczy koronkowo — powiedział Rudłowski. — Ma pan rację, chyba nie cierpiał. — Cofnął się o kilka kroków. — Niech pan odejdzie.

— Dlaczego?

— Bakterie.

Henryk wyjrzał przez okno. Przed hotelem stały trzy ciężarówki. Mielecki, Wijas i Czesiek ładowali przyczepy. Zostałem sam. Nie mogę im nawet zagrozić. Czesiek powinien pójść za mną. A może i ten.

— Pan wie, panie Rudłowski, że wczoraj wieczorem drzwi były otwarte? Kto je mógł zamknąć?

— Pewnie sam Mielecki. Albo któryś z nich — Rudłowski wskazał za okno.

— Wiedzieli? — zdziwił się Henryk.

— Któryś musiał wiedzieć. Mielecki sam nie dałby rady przenieść go na łóżko.

Henryk rozejrzał się po pokoju. Tchórz miał rację, na podłodze były ślady krwi. Nie zabił go na łóżku, oczywiście. Ułożyli go jak gdyby spał, zostawili nawet drzwi otwarte, żeby uprawdopodobnić tę wersję. Z rana Mielecki zdecydował, że zabawa się skończyła, niebezpieczna zabawa, lepiej Smółkę odgrodzić drzwiami.

— To bandzior, ten pański szef — odezwał się Henryk.

— Zaraz bandzior.

— Pruje ludziom brzuchy, a pan ma jeszcze wątpliwości.

— Pewnie Smółka szurał.

— No to co?

— Mielecki nie lubi jak się szura.

— Pan ma maturę, Rudłowski?

— Coś koło tego.

— Wie pan, co to jest etyka?

— Przebrzmiałe pojęcie. Zostaw pan Smółkę, i tak mu nie pomożemy.

— Pieprzenie w bambus, panie Koenig. Jest okazja, to trzeba brać, bo jutro nie będzie. Nie wezmę ja, to weźmie inny.

— Niech bierze inny.

— Ale dlaczego? Dlaczego nie ja?

— Dlatego, żeby... Naprawdę pan nie wie?

— Nie.

— Naprawdę pan tego nie rozumie? — Henryk pchnął Rudłowskiego do lustra. Zobaczył przekrzywiony pokój, łóżko z trupem Smółki, spocone okulary tchórza. — Po to! — zawołał. — Po to, żeby móc spojrzeć do lustra! Teraz rozumie pan?

— Powiedzmy. — Rudłowski znów przecierał okulary. — No to dzisiaj za pańskim pozwoleniem robię ostatni numer, a potem wycofuję się z interesu.

— Nie. Żadnych ostatnich numerów.

Rudłowski milczał. Łamie się — zrozumiał Henryk. Nie będę sam!

— Niech pan uważa — tłumaczył Henryk pośpiesznie. — Jeśli pan będzie solidaryzował się ze mną. Mielecki nie ośmieli się nic ruszyć. We dwóch z Wijasem nie daliby nam rady.

— A Czesiek?

— Czesiek zrobi, co ja zechcę. Oświadczę Mieleckiemu, że my trzej nie zgadzamy się na ograbienie Siwowa. Co pan na to?

Rudłowski wskazał na trupa Smółki.

— Załatwi mnie jak tego.

— Nic panu nie zrobi!

— Pan go nie zna.

— Ale znam siebie. We trójkę damy radę.

— Nie. Nie wystąpię przeciw szefowi. Ja chcę jeszcze trochę pożyć.

Henryk minął Rudłowskiego i odgrodził go od drzwi.

— Chcę z panem porozmawiać — powiedział.

— O etyce? — spytał tamten. Był zdenerwowany. Zdjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką. — To nie jest miejsce. Ten trup...

— Mam zamiar nie pozwolić na obrabowanie Siwowa — powiedział Henryk.

— A to dlaczego?

— Dla tej prostej przyczyny, że przyjechaliśmy Siwowo zabezpieczyć.

— To był wygodny pretekst.

— Dla mnie nie. Ja przyjechałem zabezpieczyć. Jeśli panu to nie wystarcza jako motyw, to przypomnę panu, że w ogóle przywłaszczanie sobie cudzych rzeczy jest zajęciem niepięknym.

— Ale pożytecznym. Żaden kraj, żadne państwo nie robiło sobie nigdy skrupułów z przywłaszczaniem cudzych ziem i miast, nagle ja...

— Czy chce pan uchodzić za złodzieja?

— Nie jestem złodziejem.

— Owszem, jest pan.

— Niech będzie, że dzisiaj jestem, ale jutro przy tym fachu nie zostanę.

— Nie wiadomo. Można się przyzwyczaić.

— Mówi pan tak, jakby pan zawsze był wzorem cnoty.

— Nie kłóćmy się o to, co było. Ale pamięta pan nasz toast, panie Rudłowski? Wolność, ojczyzna, kwitnąca przyszłość — pamięta pan?

Chciał wyjść, ale Henryk znów zagrodził mu drzwi.

— Zgoda — powiedział. — Nie żądam, żeby pan wystąpił po mojej stronie. Wystarczy, że pan nie wystąpi przeciwko mnie.

— Neutralność? — spytał nieufnie Rudłowski.

— Tak.

— Co z tego będę miał?

Henryk rozłożył ręce.

— Weźmie pan sobie to i owo.

— Wie pan, ile mi obiecał Mielecki? — spytał. — Dwa miliony. Nie w łachach. W gotówce! Czy może mi pan to zagwarantować?

— Nie.

Rudłowski roześmiał się i powiedział: no to cześć! Odszedł. Pies go tracał. Nie będę sam.

2.

— Czesiek — powiedział. I od razu zreflektował, się: za dużo włożyłem w to imię. Jakby cały ratunek stanowił tamten, jakby od niego wszystko zależało. Nie powinien nic poznać. Serwus — powiedział Henryk lekko. — Spociłeś się?

Oświęcimiak stał w drzwiach muzeum ze skrzynką na plecach.

Henryk zdjął mu z ramion skrzynkę i postawił ją na platformie ciężarówki.

— Słabo ci idzie? — spytał. — Wykończyła cię?

Nie dosłyszał odpowiedzi oświęcimiaka, którą tamten rzucił wchodząc do budynku. Jakieś „da się radę", albo „bez nerw", albo „zrobiła mnie na perłowo", czy inna męska przechwałka. Bez znaczenia. W salach muzeum było widno, wczesne słońce świeciło ukośnie, ale ostro, wprost w oczy. To tutaj biłem się ze Smółką, leżałem oparty o skrzynię, Smółka stał tam w szarej smudze światła i przykładał sobie chusteczkę do pokrwawionego policzka. Tutaj mi się powiodło — pomyślał z zabobonną nadzieją.

Czesiek oglądał skrzynie.

— Bierz te oznaczone kredą — powiedział.

— Kto oznaczał? Szef?

— A kto?

— Zna się na tym?

— On by się na czym nie znał!

— Ale kobietę wybrał sobie marną.

— Tak, na kobietach mniej się rozumie. Podaj mi skrzynkę.

— Zaczekaj.

Czesiek nie protestował. Więc on też wie, że coś się musi między nami rozegrać, coś trzeba sobie powiedzieć. Obaj udawali, że tylko „serwus, serwus", naprawdę to on też czekał na rozmowę. Oświęcimiak usiadł na skrzynce i założył nogę na nogę. — No? — spytał.

Henryk powiedział:

— Byłem tu wczoraj ze Smółką.

— Wiem.

— Pobiliśmy się. Wiesz, o co poszło?

— Nie. Ale jak mu wlałeś, to dobrze.

Smółka się nie wygadał — pomyślał Henryk.

— A wiesz, że Smółka... — chciał powiedzieć „nie żyje", ale urwał, bo nagle spostrzegł na marynarce oświęcimiaka ciemną plamę. Taka piękna marynarka. Czesiek przechwycił jego spojrzenie, opuścił wzrok na plamę. — Głupio wygląda — powiedział — nie było kiedy oczyścić.

Milczeli. Było gorzej niż przypuszczał. To on właśnie, Czesiek, pomagał przenosić Smółkę na łóżko. Najzaufańszy człowiek szefa! Siedział na skrzyni, nogę założył na nogę, pyzaty, serdeczny, człowiek-sfinks, marmurowa zagadka, czy pójdzie za mną, ja nie jestem przecież Smółką, jestem obozowiak jak i on, ale pomyśl kim się wyręczasz, czyimi rękami chcesz bronić prawa i etyki, a jeśli to zwykły bandzior, ma krew Smółki na marynarce i nawet go to nie wzruszy, słońce świeci ostro, będzie upał, mam dreszcze, zostanę sam, będę musiał zrezygnować, świństwo dopełni się do końca.

— Był ciężki? — spytał Henryk.

— Kto? Ach, on? Ważył sporo. Ale ma się trochę krzepy.

— Dlaczego szef go rąbnął?

— To był zdrajca, Heniek. Ze zdrajcą nie można się cackać.

— Wiesz, dlaczego się z nim biłem? — spytał Henryk. — Powiem ci. On chciał stąd wywieźć jeden drobiazg. Pytał, ile warte. Kazałem mu odłożyć. O to nam poszło.

Czesiek wciąż kołysał nogami. Henryk mówił:

— Znokautował mnie. A potem, kiedy mnie ocucił, przyznał mi rację.

— Jaką rację? — spytał Czesiek zrywając się.

— Że to, co my robimy, to świństwo.

— To możliwe — przyznał Czesiek.

Henryk chwycił go za ramię.

— Czesiek! Wiedziałem, że się z tobą dogadam! Wiedziałem!

— Poczekaj, jakie dogadam? jakie wiedziałem? — zdziwił się Czesiek. — Myślisz, że nie można żyć, jak się zrobiło świństwo? Całkiem dobrze można żyć.

— Chłopie, myślałem, że mnie rozumiesz.

— Co mam rozumieć? Wiem tyle, że kto był miększy, delikatniejszy, ten prędzej szedł do piachu.

— A jednak Smółka zdecydował inaczej.

— I marnie skończył. Podaj mi tę skrzynkę.

Henryk czuł, że tonie. Liny, których się uczepił, wyślizgiwały mu się z dłoni, palce nie wytrzymywały bezwładu ciała. Za chwilę zostanie już tylko bezsilny krzyk.

— Czesiek — skomlał — obaj byliśmy w obozie, i ty, i ja. Nie opuścisz mnie w takiej chwili. To wszystko, co tu widzisz, to skarb narodowy. Widzisz, skończyło się piekło, trzeba zacząć nowe życie — my, Czesiek, co tak w skórę dostaliśmy, powinniśmy o nie zadbać... Proszę cię, stary, pomóż mi.

Czesiek przypatrywał mu się zdumiony, w okrągłej, zarośniętej jasną szczeciną twarzy łowiła oddech bezzębna jama ustna. Kiedy Henryk skończył, Czesiek odezwał się:

— Z kim nowe życie? — zawołał oświęcimiak. — Dziwka na złodzieju jedzie i bandziorem pogania. Widziałeś, co się działo? Widziałeś, co z nas zrobili? Mam gdzieś skarb narodowy, mój żołądek to największy skarb.

— Boisz się Mieleckiego.

— Ja? Jego? — oburzył się Czesiek. — Ja Mieleckiemu też mogę wrąbać, jak mi na odcisk wejdzie. Ja, kurza twarz, nikogo się nie boję! Ale swoje wiem: smród od trupów szedł na pół świata, człowiek człowiekowi bebechy wypruwał, kto miał michę makaronu był arystokratą. Było tak? Było. To co wart twój człowiek? Wszystko wolno, Heniek! Wszystko!

— Masz rację, tak było: za miskę makaronu mogłeś kupić dziewczynę, trupom wyrywano złote zęby, smród szedł na całą Europę. Ale skończyło się. Nie ma wojny, nie ma obozów. I teraz nic nie wolno! Słyszysz? Nic!

Czesiek zbliżył się do niego.

— Ty, ty — warknął. — Tam też byłeś taki czysty?

Henryk cofnął się.

— Myślisz, że mi się coś do rąk przylepiło? — Wyciągnął dłonie do przodu. — Masz! Popatrz sobie!

— Drżą ci palce.

— Nie bój się. Jak strzelam, to mi nic nie drży.

Czesiek spojrzał na niego z zainteresowaniem.

— Do mnie nie strzelisz.

— Owszem. Jak będzie trzeba.

— Ja cię przedtem zakatrupię — powiedział Czesiek.

— Zamknij mordę — powiedział cicho Henryk. — Nie masz się czym chwalić. Oświadczam ci, że nie wywieziesz stąd ani jednego obrazka, ani jednej lewatywy.

— Żeby szef to słyszał...

— Nie trzymaj się za kieszeń, bo i tak nie zdążysz. Szefa przekonam, zobaczysz. On jeden z was coś rozumie. Czekaj, podam ci skrzynkę.

Henryk podniósł skrzynkę i położył ją na plecach Cześka. Oświęcimiak zwrócił ku niemu zafrasowaną twarz.

— Heniek, bój się Boga. Nam się coś za to należy? Należy się, czy nie?

— Tak. Dwie pary butów, ubranie, walizka ciuchów.

— Jesteś kawał drania — powiedział z nienawiścią Czesiek.

Henryk odprowadził go do ciężarówki i pomógł mu złożyć skrzynkę na platformie.

— Namyśl się — powiedział do Cześka. — My dwaj możemy dużo zrobić.

— Nie — odpowiedział oświęcimiak. — Nie zwariowałem.

Odwrócił się i wszedł do muzeum po następną skrzynkę. Teraz jestem naprawdę sam — pomyślał Henryk.

(Z powieści pt. „TOAST")

LUDWIK GEBEL

DESZCZ

I wtedy zbliżyć się można do deszczu
co szepce w odległości ramienia
za niedomkniętą szparą okienną
wyczuwalny w spokojnej rytmice
crescenda odbitego od bruku
narastania kałuży pod bramą naprzeciw
i wtedy zbliżyć się można do deszczu
do świeżej warstwy wilgoci
mokrego szmeru ślizgających się opon
gwizdu pociągu za mokrym przedmieściem
udźwiękowionych symboli wszechruchu
przemieszczania się tego co żywe
z tętna deszczu w najmniejszych arteriach
do świeżej warstwy wilgoci
I rzecz wtedy w tym skąd czerpać kolory
czy z deszczu wróżbity pod niebem bezgwiezdnym
czy od chiromanty co barw nie znał Neptuna
czy może z akwarium spotkanego przypadkiem
w wystawie sklepu śród wodorostów
ryby pływające w świetle zieleni
bo rzecz właśnie w tym skąd czerpać kolory
więc czy nie trafiać częściej w zieloność
ulicę zanurzyć w świetle zielonym
jak ryby z oczyma na zewnątrz
też zanurzone a ciągle inaczej
że kiedy wpatrzeć się bliżej
szkło jest w kolorze przejrzystym
więc czy nie trafiać częściej w zieloność

SPOTKANIE SŁOŃCA

Słońce ogniskowane na jednym z przystanków
styczniowe słońce które nie grzeje
a smak ma pomarańczy nie schwyconej przez zęby
w kolorze podobnym powłoce jej miąższu
jak obietnica w którą spojrzeć by można
prawie że chwycić bo tak jest blisko
słońce ogniskowane na jednym z przystanków

Może to tramwaj stanął przeszkodą
rękom co sięgnąć już miały po owoc
by sprawdzić zakres swych możliwości
choć obok rdzeń drzewa osaczony słojami
nawarstwieniem lat pod kory przykryciem
zbliżeniu z tarczą co była tak blisko
może to tramwaj stanął przeszkodą

czy znaleźć można właściwe krzesiwo
co iskry wykrzesałoby słońcu
dla chłodów silniejszych z upływem przystanków
rdzeni drzew schowanych w swych wnętrzach
co pomarańczy kazałoby dojrzeć
na przekór chłodom oczywistości
czy znaleźć można właściwe krzesiwo

WIELOZNACZNOŚĆ I INTERPRETACJA

Mówiąc o tym czy innym dziele, mówimy, że jest wieloznaczne. Mając na myśli to, że poddaje się wielu interpretacjom. A raczej, że wielu interpretacjom zdolne jest się poddać. Poprawnym interpretacjom. A zarazem — wyczerpującym, zupełnym. Każda z nich jest kluczem. Dobrym kluczem. Otwiera dzieło. Otwiera je do końca. I każda z nich jest kluczem złym. Bo istnieje klucz drugi. Interpretacja niejako konkurencyjna. Także poprawna. I także niezawodna.

Interpretacja? Nie, nie chcemy rozumieć jej tu szeroko. Nie, nie chodzi nam tutaj o uplasowanie dzieła pośród innych dzieł. Ani o ustalenie związków przyczynowo-skutkowych związanych z jego genezą czy z jego funkcjonowaniem. Ani wreszcie o wykrycie powiązań — czasem zwykłych korelacji — z wydarzeniami literackiej czy pozaliterackiej natury. Nie, nie. Chodzi nam tu o rzecz bardziej elementarną i jakby skromniejszą. O wytropienie „idei generalnej", „generalnego sensu". Oto, co przywykliśmy nazywać w szkole „ideą przewodnią utworu". Na dobrą sprawę — chodzi nam o jego „treść poznawczą". Dokładniej — o treść filozoficzną. Wychwycenie tej treści jest interpretacją. Dzieło wieloznaczne? Wieloznaczny poemat, wieloznaczna powieść? To dzieło, z którego możemy wydobyć różne treści. Biorąc pod uwagę całość dzieła. Nie lekceważąc całości na rzecz poszczególnych fragmentów. Poszczególnych strof czy scen czy rozdziałów. Dzieło wieloznaczne? To dzieło, któremu w sposób poprawny możemy przypisać różne rodzaje filozoficznych zaangażowań. W którym możemy dopatrzeć się różnych „prawd". Niczego nie prześlepiając. „Prawdy" te będą „prawdami" ogólnej natury. Będą się opowiadać za powszechnikami czy przeciw powszechnikom. Będą mówić o kondycji człowieczej. I będą się wyłączać. Będą znosić się nawzajem.

Mówiąc o tym czy innym dziele literackim, mówimy, że jest wieloznaczne. Mówimy to o „Ziemi jałowej" T. S. Eliota i o beckettowskiej „Końcówce". O „Doktorze Faustusie" T. Manna i o „Procesie" F. Kafki. O „Ulyssesie" J. Joyce'a i o „Absalomie, Absalomie..." W. Faulknera. Mówimy tak, jakbyśmy w ten sposób chcieli je scharakteryzować. Odróżnić, przeciwstawić dziełom innym. Tym jednoznacznym. Tym, dla których jedna tylko interpretacja jest interpretacją poprawną. Wszystkie inne chybiają, mylą. Dzieło bowiem, dzieło jednoznaczne charakteryzuje się przecież tym, że można mu przyporządkować — przyporządkować w sposób poprawny jeden zaledwie zespół „prawd" ogólnej natury. Jeden zaledwie układ, filozoficznych treści. To od takich właśnie dzieł różni się „Ziemia jałowa". I różni się „Ulysses". I „Doktor Faustus". Ale jednoznaczność... Czy są, czy kiedykolwiek były dzieła jednoznaczne? Czy przeciwstawienie nasze nie jest figurą retoryczną? Czy nie przeciwstawiamy przypadkiem rzeczywistych dzieł temu, co żyje w naszej wyobraźni? Co nie istnieje i nigdy nie istniało?

Owszem, nie wątpię w to, że potrafimy wskazać na dzieła, dla których utworzyliśmy do tej pory „większy" zespół interpretacji. I potrafimy wskazać na dzieła, dla których utworzyliśmy zespół „mniejszy". Owszem, możemy wskazać palcem na utwory, których określone interpretacje utarły się już od lat. Weszły nam w krew. Nikt nie chce ich rewidować. Przeciwstawiać się im, sprzeciwiać. Być może nawet istnieją dzieła narzucające większy zasób interpretacji aniżeli czynią to dzieła inne. Chyba większy zasób interpretacji narzuca „Ziemia jałowa", aniżeli „Kuzyn Pons" Balzaka czy „Nad Niemnem" Orzeszkowej. Chyba, powtarzam chyba... Nie jestem tego pewien. Rzecz wymaga bowiem starannego przemyślenia. Ale nawet, gdyby tak było — załóżmy, że tak jest — to przecież nie znaczyłoby to bynajmniej, że istnieją dzieła jednoznaczne. Uprawniałoby nas to jedynie do mówienia o dziełach mniej lub bardziej wielo — interpretacyjnych. I do niczego więcej. Jednoznaczność zaś... Nie bierzmy jej na serio. Nie ma dzieł jednoznacznych. Nie ma już choćby z jednego tylko względu. Z uwagi na sposoby dobywania treści filozoficznych z utworu. Sposoby będące przecież w powszechnym obiegu.

Dobywamy ją biorąc za nasz punkt wyjścia pewne tylko wyrażenia dzieła. Te, które uznajemy za ważne. Pomijamy inne. Te, które wydają się nam mniej istotne. To prawda, nasz wybór nie jest wyborem arbitralnym. Zależnym od nas tylko. Od naszej woli. Jesteśmy tu skrępowani. Krępuje nas postulat interpretacji poprawnej, krępują nas jej kryteria, wyczuwane raczej niż sformułowane. Nie na tyle jednak, byśmy nie mieli żadnej swobody. Możemy przecież odsunąć na bok tę oto scenę, a zwrócić uwagę na tamtą. Możemy zatrzymać się nad jednym zdaniem, a zlekceważyć drugie. Punkt wyjścia dwu badaczy, dwu krytyków może więc być różny. A ich interpretację? Obie mogą być wyczerpujące i obie mogą być poprawne. Zresztą, wyrażenia, wyrażenia pomieszczone w dziele... Przecież nie one posłużą za punkt wyjścia dobywającym treść filozoficzną. Nie one, lecz ich odpowiednie przekształcenie. Ich parafraza. Znowu w pewnym stopniu swobodna. Do pewnego stopnia nieskrępowana.

Obraliśmy punkt wyjścia. Czeka nas teraz modyfikacja obranych partii tekstu. Taka modyfikacja, za pomocą której zdołamy przejść do owych „prawd" — „prawd" ogólnej natury. Nie otrzymamy ich z tekstu za pośrednictwem poprawnych rozumowań. By je w ten sposób otrzymać, musimy wpierw tekst odkształcić. To, co w nim zawarte zastąpić czymś innym. Musimy przejść od tekstu do jego wykładni. Do tej wykładni, z których już bez trudu możemy otrzymać komplet treści filozoficznych przypisywanych rozważanemu przez nas dziełu. Brniemy więc w modyfikację. Grzęźniemy w modyfikacji. Robimy to intuicyjnie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robimy. Nie zawsze, lecz jakże często. Preparujemy tekst. Właściwie preparujemy już jego parafrazę. Jest wiele sposobów preparowania. Sposobów, na które godzimy się. Które nie budzą sprzeciwu. Choć preparaty różnią się jedne od drugich. Mogą się różnić nawet wtedy, gdy przedtem były podobne. Ba, były identyczne. Były kubek w kubek takie same.

Interpretacja, interpretacja dzieła zależy więc od wyboru określonych jego fragmentów potraktowanych jako punkt wyjścia. Od ich parafrazy. I od modyfikacji. Tak, za każdym razem jesteśmy ograniczeni. To oczywiste. Ale nie do ostatka, do końca. Mamy tu swobodę manipulacji. Mamy tu — w pewnych granicach, swobodę wyboru. Korzystamy z niej. Niekiedy na jakiś czas wyrzekamy się jej dobrowolnie. Przyjmujemy jakąś interpretację i trwamy przy niej. Trwamy z zadziwiającą wiernością. Zawsze jednak możemy pokusić się o inną. Bez względu na dzieło. Na jego rodzaj. Na to, czy będzie nim „Ziemia jałowa" czy „Pan Tadeusz", „Doktor Faustus" czy „Nad Niemnem", „Końcówka" czy „Odprawa posłów greckich".

LECH BUDRECKI

MARIA KORNATOWSKA

JESZCZE O POTRZEBIE RYZYKA

Chciałabym raz jeszcze powrócić do tak niewdzięcznego, a przecież bliskiego sercu tematu jakim jest film polski i nawiązać do mego własnego felietonu o zachęcającym tytule „Trochę ryzyka panowie". Pisałam tam m. in. o wielce szkodliwym dla rzeczy, bądź co bądź tak kruchej jak sztuka (a film — utrzymują niektórzy — do takowych się zalicza) nacisku maszyny biurokratycznej przez której ucho igielne przejść musi scenariusz zanim skierowany zostanie do realizacji.

Ale sprawa scenariusza nie wyczerpuje zagadnienia. Gotowe już bowiem dzieło filmowe musi również zostać zatwierdzone przez odpowiednie a „kompetentne" grono. Grono złożone z ludzi rozmaitych, o różnych upodobaniach i poglądach. Każdy z nich ma coś do powiedzenia, wnosi, poprawia, uzupełnia. I oto ponownie film zostaje odarty z indywidualnego piętna, zmieniony, zniekształcony. Nawet jeśli uwagi „kompetentnego" grona nadadzą filmowi kształt bardziej doskonały, to osobiście wolę dzieło oryginalne, choćby miało być chropawe i mniej słuszne. Należy się wreszcie nauczyć cenić indywidualność — szczerość w sztuce. Czy można sobie wyobrazić sytuację, w której jakieś ciało zbiorowe zacznie poprawiać pisarzowi zdania, dodawać lub wykreślać epizody, zdarzenia czy postaci? A czymże autor filmowy zasłużył sobie na mniejsze respektowanie jego praw niż pisarz?

Film dysponuje większym zasięgiem oddziaływania społecznego. Zgoda. W każdym kraju istnieją instancje oceniające szkodliwość moralną lub ideową twórczości filmowej. I słusznie. Dzieła ekranowe przemawiają do milionów. Ich wpływ może przynieść nieobliczalne rezultaty. Ale u nas tego typu niebezpieczeństwo nie istnieje. Filmy polskie nie cieszą się ogromną popularnością i jak dotąd, poza panującą ongi wśród płci brzydkiej modą na Cybulskiego, większego wpływu na bieg narodowy dziejów nie wywarły. I w tej sytuacji trudno od nich tego wymagać. Nasze filmy w przeciwieństwie do ich twórców są bardzo dobrze wychowane. Starają się nikogo nie obrazić ani piekarzy, ani lekarzy, ani szewców. Podejrzewam, że duża w tym zasługa „kompetentnego" grona. Składa się ono z osób wielu, a każda z nich dba o interesy swoje i znajomych. Dzięki temu krąg spraw nietykalnych znacznie się rozszerza. A my widzowie ziewamy. Bo traktują nas jak małe dzieci, które nie potrafią odróżnić zła od dobra, ziarna od plew. Bo pokazują nam dobrze znane bajeczki, w które nikt nie wierzy. A przecież tyle jest do powiedzenia ciekawego, fascynującego, rzekłabym nawet budującego.

Zapominamy u nas często, że film jest również podpisaną przez twórcę formą autorskiej wypowiedzi o świecie i że to twórca ponosi pełną odpowiedzialność za to co chciał powiedzieć i powiedział. Pozwólmy mu tę odpowiedzialność dźwigać i nie traktujmy każdego filmu jako zbioru prawd objawionych i powszechnie obowiązujących. Ciekawe co by zostało z dzieł Bermana, Felliniego, Antonioniego czy Richardsona po przejściu przez wszystkie komisje i czynniki jakie tworzą naszą filmową machinę biurokratyczną. Obawiam się, że niewiele. Nic dziwnego, że potem na głowy polskich twórców sypią się gromy krytyki, że nie dorównują, nie nadążają, wstyd ojczyźnie przynoszą itd. Ale czy to zawsze ich wina? Ile w tym ich zasługi, a ile kompetentnego grona — trudno zbadać. Jeszcze trudniej w tej sytuacji osądzić sprawiedliwie, nikogo nie krzywdząc.

Tak już niestety bywa, że sztukę tworzą silne indywidualności, których poglądy nie zawsze, trzeba to z ubolewaniem stwierdzić, pokrywają się z poglądami panów urzędników. A w tej chwili urzędnicy są u nas górą. Ten stan rzeczy jest bardzo niebezpieczny. Od dłuższego już czasu oglądamy na naszych ekranach filmy bezbarwne, jałowe, pozbawione indywidualności i zadziorności. Co więcej, obawiam się, że coraz częściej filmowcy realizują swoje dzieła pod komisję. Żeby się nie wychylić, nie narazić, uzyskać lepszą notę, wyższe wynagrodzenie. Zaczyna działać aparat autocenzury — źródło wszelkiego konformizmu i oportunizmu. Jeśli członkowie komisji wolą blondynki to jestem pewna, że wkrótce oglądać będziemy na ekranach same blondynki. I tak dalej, i tak dalej — można by mnożyć mniej lub bardziej opłakane skutki podobnej sytuacji. Nie o to jednak chodzi. Nie chciałabym zanudzać czytelników powtarzaniem tez mego poprzedniego felietonu. Trzeba jednak wreszcie zdać sobie sprawę z tego, że film polski jeśli naprawdę ma posiadać jakąś wartość musi się rzeczywiście włączyć w prawdziwe życie, pełne pomyłek i niedoskonałości, ale autentyczne i krwiste. Twórca filmowy ma jak każdy człowiek prawo do swego widzenia świata. Może się nawet mylić. I fakt, że taki film dotrze do szerokiej publiczności przyniesie z pewnością mniej szkodliwe rezultaty niż poprawianie, przerabianie, przymierzanie każdego dzieła do raz przyjętych i zatwierdzonych wzorców.

Niech nasze filmy nareszcie zaczną budzić jakieś autentyczne echa, niech pokazują coś o czym nie wiemy, czego się nie spodziewamy, czego czasem nie chcemy dostrzec. Bardzo by się nam przydało paru młodych, „gniewnych" ludzi. Albowiem to młodzi, „gniewni" ludzie są sumieniem społeczeństwa i zaczynem przedsięwzięć śmiałych a twórczych. Ale musimy dać im się trochę wygniewać, musimy pozwolić im przemówić własnym głosem.

PODSTĘP REKLAMY

Kiedy w 1939 roku Amerykanie odbierali pierwszy program telewizyjny wydarzenie to miało smak podwójnej nowości. Prezydent Roosevelt przecinający wstęgę na otwarciu Światowej Wystawy, mecz base-ballowy, panna Brendy Frazier pozwalająca podziwiać swą słynną urodę — wszystkie te momenty utrwalały odbiorców w mniemaniu, że uczestniczą w spektaklu zupełnie wyjątkowym. Chodziło przecież nie tylko o to, że na ekranie można oglądać transmisję wydarzeń, być uczestnikiem wypadków, w których normalnie nie brałoby się udziału. Telewizja stała się świadectwem rzeczywistości czy raczej pewnych jej fragmentów, które w normalnych warunkach, ze zrozumiałych względów wypadałyby z pola percepcji człowieka. Stała się jego wszechwidzącym okiem, które pozwala mu w błyskawicznym czasie przerzucać się z miejsca na miejsce, rejestrować wydarzenia rozgrywające się w różnych zakątkach kraju, a jednocześnie nie ruszać się z wygodnego fotela. Tym sposobem telewizja wyposażyła odbiorcę w dodatkowy zmysł, którego natura mu poskąpiła. Ale to była tylko część technicznej magii. Ta część, która nie różniła telewizji od kina, gdzie zapis na taśmie również mógł odtworzyć wypadki niemożliwe do obserwowania w zwykłych warunkach. Kino jednak od początku ustępowało telewizji nie tyle ze względu na to co przekazywało, ile ze względu na to kiedy. Przy najsprawniejszym nawet działaniu mechanizmów filmowych kronikę wydarzeń można obejrzeć na ekranie dopiero w kilka godzin od czasu ich rzeczywistego zajścia. Telewizja stała się przekazem natychmiastowym. Dawała odbiorcom wrażenie bezpośredniego kontaktu z tym wszystkim, z czego dotychczas byli wyłączeni. Prezydent Roosevelt przecinał wstęgę w tym samym momencie, gdy widziało się go na ekranie, piłka wpadająca do bramki na ruchomym obrazku w istocie wpadała w tej samej chwili do bramki, uśmiech panny Frazier był bezpośrednio skierowany do siedzących przed aparatem. W 1941 roku na małym ekranie po raz pierwszy pojawiło się ogłoszenie propagujące pewien wyśmienity produkt. Nie wiadomo czy chodziło o nowy typ Cadillaca czy o znakomite proszki nasenne. Telewizja przeżyła niewidoczny wstrząs polegający na odcięciu się od spontanicznego rejestrowania aktualnych wydarzeń. Tronowe miejsce wśród zabiegów telewizyjnych zajęły filmy, telerecordingi, postsynchrony.

Wystarczy prześledzić pozycje programu telewizji amerykańskiej. Dużo filmów reklamowych. Dużo filmów fabularnych i dokumentarnych. Komiksy. Sprawozdania filmowe. Wytworzył się już nawet nowy gatunek — film telewizyjny, który tym tylko różni się od zwykłego filmu, że brak mu zazwyczaj zamkniętej dramaturgicznie konstrukcji i że jest filmem cyklicznym. Można przyjąć, że sytuacja telewizji amerykańskiej zwłaszcza sytuacja wszystkich skomercjalizowanych stacji nadawczych, jest wyjątkowa. Ale nie zmienia to zasygnalizowanego stanu rzeczy, że daje się ostatnio zauważyć daleko posuniętą tendencję do wycofania się z pozycji środka natychmiastowego przekazu informacji. Krótka przeszłość polskiej telewizji wydaje się potwierdzać to przekonanie. Wprawdzie sporo jeszcze mamy widowisk przekazujących wiadomości „na żywo": niektóre transmisje sportowe, serwisy informacyjne, wywiady. Ale już reportaże posługują się zdjęciami filmowymi. Widowiska artystyczne coraz częściej zapisywane są na taśmie telerecordingu i następnie odtwarzane przy pomocy tego zapisu. Prawie nigdy nie słyszymy głosu śpiewaków i piosenkarzy w relacji bezpośredniej. Trudno nie dostrzec zalet tej zmiany kierunku produkcji telewizyjnej. Daje ona zwiększoną możliwość kontroli programów, które się prezentuje publiczności. Pozwala wyeliminować wszystkie niepożądane efekty, usunąć wszystkie dostrzeżone potknięcia. W ten sposób doskonali się jakość tego, co oglądamy na ekranie. W ten sposób również nasz domowy ekran coraz bardziej przypomina duży ekran kinowy. Bliski wydaje się dzień, kiedy, tak jak w radiu, 90 procent spostrzeganych przekazów to będą przekazy zarejestrowane wcześniej. A może uśmiech spikera przesyłany na dobranoc pochodzi sprzed dwóch dni? Trochę nam szkoda, wbrew zdrowemu rozsądkowi, dawnej „natychmiastowości" telewizji. Wszystkiemu winne reklamy.

MIKS

EKRANIK

MAŁO WAŻNE

Roger Vadim jest z pewnością największym szczęściarzem pomiędzy mężczyznami świata. Po Brigitte Bardot, Anette Stroyberg, Catherine Deneuve — najnowszą zdobyczą Vadima jest prześliczna Jane Fonda, córka znakomitego Henry Fonda. A oto co Vadim mówi sam o sobie: Jestem zaprzeczeniem tego co się o mnie myśli. W gruncie rzeczy jestem nieśmiały i sentymentalny. Jestem, bardziej od innych mężów, zdolny do wierności...".

●

„Przeżyłam pięć miesięcy w piekle" — mówi Monica Vitti. Zdarzyło się to z okazji realizacji filmu Antonioniego „Czerwona pustynia". „Ten film dla mnie jest tylko szeregiem obskurnych chat rybackich, opuszczonych, nad zamglonym brzegiem kanału. Gdyby Dante to widział mógłby wzbogacić swoją wizję piekła o kilka kręgów". Monica Vitti wzdraga się, wypowiadając te słowa. Ale wcale się nie dziwi, że Antonioni jako tło dla nowej historii miłosnej wybrał strefę przemysłową Rawenny. Na czym polega akcja „Czerwonej pustyni?" Wszystko koncentruje się wokół pewnego miłosnego spotkania, jak zwykle gorzkiego i bolesnego. Młoda neurotyczka, aktorka, która usiłuje nawiązać jakikolwiek kontakt z rzeczywistym życiem staje się kochanką pewnego Irlandczyka. Jest to miłość platoniczna, ale dzięki niej aktorka zyskuje dużą wiedzę o życiu.

Co mówi o tym filmie Antonioni? „Jest to film „atmosfery". Trzeba wiedzieć, co to jest współczesna Ravenna, aby móc uchwycić ten nastrój, nastrój, który może doprowadzić do szaleństwa. Ten nastrój przenika do świadomości, przepaja ciało Moniki, żony inżyniera. W jednej z chat rybackich, żyje ona z Harrisem, któremu zwierza się z całego nieudanego życia. To ziemia koszmaru i wyzwolenia. Woda w kanale jest zastygła, pokryta kolorowymi plamami tłuszczów. Ta woda jest obrazem dusz, które cierpią i szukają wyzwolenia. To dodatkowy powód, dla którego mój film jest filmem barwnym..."

●

W Londynie panika: Beatlesi kręcą ich pierwszy film. Po wniesieniu zamętu w ciche i spokojne życie mieszczan amerykańskich, wnoszą obecnie niszczycielskie swoje skłonności do studia filmowego w Twickenham. Czterej przedziwnie uczesani chłopcy realizują na ekranie swoją własną historię. Film ma obfitować w niezwykłe awantury. Paul, George, John i Ringo będą w nim skakać z pociągu do samolotu i z helikoptera na pokład statku. Oczywiście, tak jak w rzeczywistości, w pewnym momencie zginie gdzieś wiecznie roztargniony Ringo. Dla „Beatlesów" film jest świetną zabawą, aczkolwiek muszą wstawać codziennie o godzinie szóstej rano, a jest to godzina, o której dotychczas raczej kładli się spać. Poza tym, rzecz fatalna, muszą się nauczyć na pamięć paru „kawałków" tekstu. Ale spieszymy upewnić, że wcale nie czują się załamani tymi trudnościami, wręcz przeciwnie, chętnie wzięliby udział w pracy nad następnym filmem, zwłaszcza gdyby to był film o... trzech muszkieterach.

E. LIWIŃSKA

EDWARD SZUSTER

KŁOPOT z rodziną MIDWAY'ÓW

Teatr Powszechny zaprezentował ostatnio swej widowni komedię Dawida Turnera „Pod własnym dachem". W przygotowanie spektaklu wszyscy jego twórcy i wykonawcy włożyli niewątpliwie wiele inwencji i pracy, ale właśnie w sztuce — choć nie tylko w sztuce — wysiłek towarzyszący powstaniu dzieła nie decyduje, niestety, o wartości ostatecznej tego dzieła. Nowe przedstawienie Teatru Powszechnego do sukcesów tej sceny chyba nie zostanie zaliczone. Myślę oczywiście o sukcesie artystycznym, bo z frekwencją może być różnie; kto wie czy „Pod wspólnym dachem" nie zyska sobie u mniej wymagających widzów opinii: „ubaw po pachy". Podejrzewam nawet, że tak właśnie będzie. Niemało bowiem jest w przedstawieniu sytuacji, a w tekście komedii kwestii mogących wzbudzić na widowni huragany śmiechu, jak na przykład ubolewanie ojca, że jego córka „trwoni swą inicjatywę seksualną" lub zwierzenia starszego pana o skuteczności zastrzyków z wyciągu z jąder baranich.

Mimo, że wszystkie wspomniane tu momenty znajdowały wcale żywy rezonans na widowni wydaje mi się, że symptomatyczna dla całego spektaklu sytuacje przeżywaliśmy na początku trzeciego aktu. Gdy kurtyna podnosi się — siedmiu aktorów zanosi się na scenie od śmiechu, a widownia patrzy na tych rozbawionych, roześmianych ludzi spokojnie i uważnie. Na scenie śmiech — obojętność na widowni: sytuacja dość żenująca. Uczciwy wysiłek wykonawców sztuki nie znajduje rezonansu u jej odbiorców. Czemu? Nielatwo odpowiedzieć na to pytanie wyczerpująco i całkowicie, ale pewne hipotezy rysują się wyraźnie.

W programie przygotowanym przez Teatr Powszechny z okazji przedstawienia „Pod własnym dachem" znajdujemy kilkakrotnie informację, że komedia Turnera jest satyrą na obłudę moralną angielskich klas średnich. To prawda: Turner podjął temat, który już przed pięćdziesięciu prawie laty pasjonował w Anglii Bernarda Shawa. Można jednak stwierdzić, że w porównaniu ze swym poprzednikiem, Turner znajduje się w „bitym polu" (terminologią szachową). Jego spojrzenie na moralność mieszczańską jest intelektualnie uboższe niż spojrzenie G.B.S. więcej natomiast w tej komedii elementów francuskiej farsy bulwarowej, tyle, że bez jej dowcipu i lekkości. W rezultacie mamy mieszaninę nieciekawego naśladownictwa Shawa z prostackim naśladownictwem francuskich majstrów jednoznacznej dwuznaczności. Dla widza dysponującego jakim takim zasobem kultury teatralnej owo pochodzenie komedii Turnera jest niewątpliwe, co odbiera jej smak świeżości. Może on — ten widz — jedynie snuć refleksje na temat epigonizmu angielskich „wściekłych" (Turner jest podobno reprezentantem tej grupy), którzy czerpią swe natchnienia z dzieł mających już ponad pół wieku. Można także zastanawiać się nad trwałością pewnych faktów czy zjawisk w życiu społecznym Anglii, gdzie shawowska problematyka wciąż jeszcze jest żywa i budzi rezonans. To wszystko jednak nie wystarcza, aby odbiór sztuki mógł być żywy, bezpośredni.

Zostawmy jednak te rozważania literacko - historyczne, które większości widowni nie absorbują ani też nie interesują. Dla zdecydowanej większości widzów najważniejsze są treść i sens sztuki opowiedzianej językiem teatru. Jest to historia rodziny angielskiego businessmana, któremu w ciągu jednego dnia wala się na głowę kłopoty, gdyż przyjaciel jednej z jego córek okazuje się człowiekiem żonatym, druga córka postanawia porzucić męża, bo ja zdradził, a syn — jeszcze nieletni — ma wkrótce zostać ojcem dziecka jakiejś dziewczyny. Znaczenie jakie mogą mieć te wszystkie komplikacje dla losu i przyszłości całej rodziny nie jest dla polskiego widza oczywiste: znajomość praw i obyczajów angielskich nie jest u nas aż tak powszechna. Historia sceniczna przedstawia więc ludzi żyjących w kiepsko znanym widzowi systemie, kierujących się innymi niż nasze obyczajami i normami życia. To wszystko utrudnia, komplikuje zaatakowanie polskiego widza problematyka tej komedii. Jedynym sposobem przełamania owych licznych barier, może być zainteresowanie widowni klejnotami rodziny Midwayów, zasugerowanie widzowi, że owe kłopoty są prawdziwe i poważne. Nie zasugeruje się tego koncepcją farsy, farsa to zabawa, raczej już koncepcją drapieżnej, demaskatorskiej komedii. Tylko wówczas karkołomne wysiłki i spekulacje ojca tej szacownej rodziny mogą być zrozumiane jako smutny rezultat obowiązujących w jego środowisku norm i obyczajów i pozwolą owe normy i obyczaje ocenić.

Tymczasem papa Midway, „bohater" sztuki, w wykonaniu Mariana Nowickiego, jest człowiekiem świetnie bawiącym się sytuacjami, a nie walczącym o utrzymanie w życiu zdobytych pozycji. Mówi on co prawda o konieczności tej walki, ale tylko mówi; w całym zachowaniu się tego człowieka nie czuje się grożącego mu niebezpieczeństwa. Dlatego też widz ani przez chwilę nie traktuje poważnie całej historii i przyjmuje ją wyłącznie jako zabawę. Lepszą lub gorszą — to już zależy od tego co kogo bawi.

Rolę Freda Midway gra Marian Nowicki w sposób precyzyjny i wręcz brawurowy. Rola ta jest na pewno rezultatem solidnej pracy, nie mogę jednak oprzeć się przeświadczeniu, że doświadczenie i talent aktora zostały tu wykorzystane nie najtrafniej. Reżyser przedstawienia potraktował komedię Turnera w sposób zdecydowanie farsowy, a cały zespół aktorski, zgodnie z obowiązującą w teatrze dyscypliną — podporządkował się tej dyrektywie. Janusz Mazanek przebiera nogami dla zademonstrowania starczej pożądliwości, Barbara Połomska piszczy i wierzga, Lucjan Wiernek dygoce z niecierpliwości erotycznej wzbudzonej lekturą podniecającej nowelki, Teresa Kałuda ugania się za partnerką, Marian Nowicki galopuje przez swą rolę jak koń po parcoursie, biorąc każdą przeszkodę z pełnego biegu. Na scenie utrzymuje się bez przerwy farsowe tempo, a oszołomiona ciągłymi zmianami sytuacji publiczność chwyta tylko najbardziej zewnętrzne elementy przedstawienia i — w zależności od swych duchowych potrzeb — albo kwituje je gromkim śmiechem, albo uśmiechem zażenowania. Sztuka, która miała być — według informacji zawartych w programie — satyrą na obłudę, pozostaje w pamięci jako wiązanka ryzykownych dowcipów i sytuacji podobnych do tych, jakie w mieszanym towarzystwie opowiada się już po kilku głębszych. Niektórzy ludzie bawią się szczerze takimi historiami; inni — nie. Wydaje mi się, że po to, aby doznać przeżyć i wrażeń charakterystycznych dla wesołej kolacji nie trzeba aż chodzić do teatru. Poza tym przedstawienie teatralne jest wynikiem usilnej pracy wielu ludzi i przykro jest, gdy ta praca nie stwarza niczego trwalszego, godnego zapamiętania i uznania. Czegoś, co się liczy w naszych teatralnych rocznikach.

JAN KALINA

PARYSKA SATYRA

Na pytanie co i kto jest głównym tematem satyry paryskiej, można odpowiedzieć bardzo krótko: de Gaulle. Pierwszego dnia mnie to zaskoczyło przecież to przywódca państwa o tak silnej ręce, jakiej tu dawno nie było. Kiedy jednak zobaczyłem na scenie piąty z kolei atak na prezydenta — zacząłem się do tego przyzwyczajać, a po dziesiątej parodii zrozumiałem, dlaczego się tu przeciw nim nie występuje. Pamflety na głowy sterników nawy państwowej są głęboko związane z tradycjami francuskiego demokratyzmu. Odzwierciedlając wrodzoną zasadniczą niechęć ludu do panujących, pełnią jednocześnie funkcję wentyla, kanału odpływowego i piorunochronu dla niezadowolenia ludzi, którzy się tu nieszkodliwie wyszumią i nie czują potem potrzeby poważniejszego przeciwstawiania się władzy. Większość tych parodii i satyr wyśmiewa cielesne cechy — głos, ruchy, twarz — generała, jego maniery i słownik i tylko czasem dotyka spraw bardziej niebezpiecznych. Koniec końców można powiedzieć, że satyra ta raczej popularyzuje, niż podważa przedmiot karykatury. pojąłem to patrząc chociażby na dobrotliwy śmiech, z jakim paryski mieszczuch przyjmuje satyry na swojego prezydenta. Ale bo też do kabaretu — to dalsza rzecz warta uwagi — do kabaretu w Paryżu chodzi tylko mieszczuch i cudzoziemiec, rzadziej student i intelektualista. Robotnik z dalekich dzielnic przedmiejskich nie może sobie pozwolić na pójście do kabaretu czy do teatru ze względu na wygórowane ceny biletów.

W teatrzyku „LES DEUX ANES" na Montmartrze stoi na scenie jarmarczna buda z figurkami licznych mężów stanu, z figurką de Gaulle'a pośrodku. Konferansjer rozdaje obywatelom piłki z koszyka, ażeby trafiali w głowy dostojników i zrzucali je. Przy wielkiej uciesze publiki padają głowy, zwalone pileczkami widzów.

W tym teatrzyku zjawia się na scenie de Gaulle w mundurze Napoleona. Z tym to DEGAULLEONEM przeprowadza wywiad znana MARIANNA na temat nowych państwowych świąt, które mają być ogłoszone w związku z głośnymi czynami generała. Kiedy DEGAULLEON wymienia wszystkie daty, MARIANNA zwraca mu uwagę, że zapomniał o jednej ważnej dacie. Jest to dzień 18 sierpnia.

— Co to za dzień? — pyta generał.

— Dzień świętej Heleny *) — odpowiada znacząco MARIANNA i kurtyna spada.

HENRI TISOT to człowiek, który pod swoją fotografią umieszcza tekst: jedyny Francuz, który zyskał na de Gaulle'u. Istotnie, Tisot żyje z de Gaulle'a. Potrafi nieprawdopodobnie wprost naśladować głos i sposób mówienia prezydenta. Zbudował on na tym wiele swoich monologów. Chyba najbardziej dowcipna jest konferencja prasowa u de Gaulle'a, na której dziennikarze zadają głowie państwa liczne pytania. Kiedy pytania się kończą, Tisot — de Gaulle mówi: zdaje się, że ktoś pytał mnie także o degolębizację Paryża. Na to pytanie odpowiem.

Następuje nie kończące się przemówienie o potrzebie walki z gołębiami, które brudzą historyczne pamiątki miasta. Tisot wygłasza przemówienie charakterystycznym dla de Gaulle'a patriotyczno-patetycznym tonem, hojnie używając właściwych dla de Gaulle'a zwrotów językowych. Ale wszystko to jest znowu bez wyraźniejszego politycznego podtekstu.

W programie teatru FONTAINE, gdzie widziałem komedię Poireta i Serraulta, pełną zresztą łatwych parodii różnych artystycznych wydarzeń (parodia pantomimy Barraulta, satyra na cinema-verité, na to jak powstaje pornograficzna powieść) jest scena, podczas której na ekranie pokazuje się zastanawiająco autentyczny de Gaulle, siedzący za biurkiem. I nagle publiczność wybucha dzikim śmiechem. De Gaulle nie mówi o polityce, ale wygłasza dowcipną reklamę tegoż właśnie przedstawienia, w którym wszyscy wzajemnie z siebie pokpiwają, w końcu także i z de Gaulle'a. Parodystyczny tekst po mistrzowsku jest podłożony na miejsce poprzedniego przemówienia politycznego.

I jeszcze jeden przykład, bynajmniej nie poślednī: naprzeciw Opery Komicznej przy wielkich bulwarach znajduje się mały teatrzyk GRAMOND. Grają tu już od dłuższego czasu „fikcję satyryczną" ROBERTA ROCCU (z autorem w roli głównej) pod dziwacznym tytułem „VIVE LA LIBE" („Niech żyje wol"). Akcja komedii rozgrywa się w r. 1984, więc po dwudziestu latach, kiedy jeszcze trwają rządy silnej ręki de Gaulle'a w krainie, gdzie udało mu się zlikwidować już ostatnie demokratyczne prawa. Ktoś znajduje skrawek kartki sprzed dwudziestu laty ze słowami „vive la libe", reszta kartki jest oddarta. Na scenie długo zastanawiają się, co tam mogło być napisane, aż wreszcie ktoś rozszyfrowuje sprawę. Pełne słowo brzmiało: „liberté". Tylko, że zagadka nie jest jeszcze wcale rozwiązana. Jakie jest znaczenie tego słowa — nikt w r. 1984 już nie wie, muszą go dopiero odnaleźć w słowniku Larousse'a.

Jest to najlepsza, najtrafniejsza satyra na perspektywę rządów człowieka o silnej ręce,

wg bratysławskiego „Kulturniho života"

*) Napoleon został zesłany na wyspę św. Heleny.

Półka z książkami

BAL POŻEGNALNY

Neu-Spuhl, nazwa tego miasteczka nie istnieje na żadnej mapie. Ale niedokładność topografii wynagradza precyzyjna wymowa faktów. Zresztą nam, po prawej stronie Łaby, wystarczy, że gdzieś w Niemczech zachodnich, w latach pięćdziesiątych, ale już pod sześćdziesiąte odbywa się szkolny bal. Od czwartej do czwartej, 12 godzin gra orkiestra za 750 marek. Jedna noc kosztuje dwa istnienia ludzkie.

My, po prawej stronie Łaby, pamiętamy dosyć dobrze noc, która trwała 6 lat przy innej orkiestrze. Kosztowała 32 miliony istnień. Przy całej niewspółmierności tych dwu liczb postawię jednak pytanie: czy rachunki tej i tamtej nocy są równoważne? Zestawienie jest potrzebne choćby dlatego, że Gaiser go unika. Oczywiście, aby znaleźć odpowiedź najwłaściwszą byłoby trzeba napisać książkę przynajmniej tych rozmiarów co „Bal pożegnalny". Natomiast niemal instynktownie łatwo ustalić, że ta druga noc, 750-markowa, wyniknęła z tej pierwszej — za 131.557 milionów dolarów. Choć nie chodzi tu o związek przyczynowy. Raczej o skale wartości zdeptanych, do której, czy Niemcy tego chcą, czy nie, trzeba odnosić teraźniejszość.

Szkolny bal jest pretekstem do odmalowania miasteczka. Z burdelem pani Rakitsch i lodami Herr Foerckha. Z ulicami dźwigniętymi z ruin, po których pędzą Volkswageny, oraz z przeszłością, która ludzie noszą w sobie. Z przeszłością właśnie, choćby się próbowało zmienić nazwę miasteczka na Neuest-Spuhl. Bo, jak powiada jeden fragment książki: „Nikt nie ucieknie przed swoją winą". Dotyczy to i Gaisera. Bo jednak ostatecznie musiał dotknąć spraw, których wolałby nie poruszać. Które nie dają się zasłonić terminem i m a g o (ostatnie stadium metamorfozy), Sielsko wykluwające się ważki z czymś się jednak kojarzą. Skrzydła! Mój Boże, po tylu bombardowaniach.

K. F.

Gerd Gaiser „Bal pożegnalny", wyd. PAX 1963, str. 222.

WŁASNE ŻYCIE

Saroyan napisał wiele powieści, opowiadań; wiele utworów scenicznych. Sztuki nie były bodaj grane przez żaden nasz teatr zawodowy, w Ameryce też nie były rozchwytywane, z beletrystyki najbardziej znane są u nas opowiadania, zebrane w tomie „Chłopiec na trapezie", powieści „Śmierć nie omija Itaki", „Cóż za pomysł, papo". Obecnie ukazała się książka o charakterze autobiograficznym WŁASNE ŻYCIE. Są czytelnicy, którzy Saroyana cenią bardzo wysoko, za prostotę języka, za szlachetność uczuć, optymistyczne spojrzenie na świat i na los człowieka, za ciepło jego prozy. Są czytelnicy, którym ta proza wydaje się jałowa, bezpieciowa, bezkonfliktowa, ckliwa, po kaznodziejsko-harcersku dydaktyczna. Na leże do tych ostatnich: prozy Saroyana nie lubię, wynika to z zupełnie odmiennego widzenia świata, z zupełnie innego pojmowania funkcji i racji istnienia literatury, widzę świat w jego skleionym skomplikowaniu i jego dramatycznych splotach, mój stosunek do Saroyana jest więc subiektywny, jest stronniczy, tendencyjny i tak należy przyjmować wszelkie uwagi także na temat WŁASNEGO ŻYCIA. Proza ta zawiera w stężeniu wszystkie cechy pisarstwa Saroyana. Ta autobiografia składa się z czegoś w rodzaju felietonów-impresyjek — rozgadanych, powracających wielokrotnie do momentów już opisywanych: zbyt wiele w niej prawd aż nazbyt oczywistych, stwierdzeń będących już truizmami, zbyt wiele przesentymentalizowanych opisów z własnego życia, które mogą interesować tylko opisującego, nie czytelnika, jak np. „Jedzenie". Najciekawsze literacko są rozdziałki zbeletryzowane, rodzaj nowelek, interesujące stają się momenty, w których w gawędziarskie ciepełko tej prozy wdziera się sarkazm, gorycz, jakaś nareszcie pasja. Zresztą w jednym z rozdziałków sam Saroyan przyznaje: „rozdrażnienie zabarwiało moje dzieło. Powstawała nowa książka, powieść lub sztuka w stylu, którego bym jej nie mógł nadać, gdyby nie ten stan ducha... Styl „Tracy's Tiger" nie mógłby się zrodzić z czego innego, jak z poczucia straty, gniewu...". Inna rzecz, że to rozdrażnienie i gniew budziły w Saroyanie często „straty poniesione w grach hazardowych: przegrał 5.000 dolarów, rozgniewał się, napisał niezłą książkę „Śmierć nie omija Itaki" — zarobił... 250.000 dolarów.

Ach, ci Amerykanie!

W interesujących wynurzeniach na temat własnego pisarstwa — rozdziały GRACZ, DRAMATURG — znajdujemy osobliwe uwagi o twórczości Szekspira, mówiące o narcystycznym samouwielbieniu Saroyana — dramaturga.

W. K.

William Saroyan „Własne życie", wyd. PAX 1964, str. 265.

BACZYŃSKI

I „Utwory zebrane" Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, opublikowane w roku 1961 przez Wydawnictwo Literackie i piękne studium Kazimierza Wyki o tym poecie, wraz z „Utworami zebranymi — lecz w osobnej książeczce — wydane, zniknęły szybko z półek księgarń. Otrzymaliśmy wówczas, w roku 1961, prawie wszystko, co po Baczyńskim ocalało, wszystko, co po rok 1961 wydawcy zdołali odszukać. Baczyński zginął w powstaniu warszawskim, mając lat dwadzieścia trzy. „Utwory zebrane" wydano na 1.079 stronach. Baczyński był poetą wielkiego talentu. Pisał wiele. Pisał zbyt wiele. Czy przeczuwał swą rychłą śmierć? Wiersze poświadczają: przeczuwał. Może dlatego pisał tak wiele? Może dlatego pragnął utrwalić każde doświadczenie? Na owych 1.079 stronach znalazły się przeto — jak pisał Stanisław Piętak — „pomyłki, puste miejsca, rzeczy niedonoszone, kalekie". W tomie, który opublikowało ostatnio Wydawnictwo Literackie, nie ma pustych miejsc. „Wobec przedziwnie ocalałej puścizny po Krzysztofie Baczyńskim — pisze w posłowiu do tego tomu Kazimierz Wyka — pierwszym był obowiązek filologa. Dalszym dopiero obowiązek miłośnika". Kazimierz Wyka pięknie spełnił obowiązek miłośnika. Wybrał spośród wierszy Baczyńskiego te, które nie były zapisem jednorazowego doświadczenia. Jest w Utworach wybranych i „Biała magia" i „Hallelujah", i „Róża świata", i „Serce jak obłok". Baczyński z „Utworów zebranych" jawił nam się jako wielki, niezrealizowany poeta. Baczyński z „Utworów wybranych" jest wielkim poetą.

K. M.

Krzysztof Kamil Baczyński „Utwory wybrane", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1964.

WIELKA WOJNA

Chociaż druga wojna światowa ma w literaturze amerykańskiej świetną karierę, dziś po latach dwudziestu od jej zakończenia już tylko chyba dwie książki (Jonesa — Stąd do wieczności i Mailera — Nadzy i martwi) zwycięsko opierają się destruktywnemu działaniu czasu. Dorzućmy do tych tytułów parę krótkich opowiadań (np. I. Shawa), parę reportaży (Steinbecka, Hemingwaya). Więcej na karcie, o której mowa już się nie mieści. Ta karta kurczy się z upływem czasu, źle tak bywa w literaturze, to normalne. Więdnie i opada z niej wszystko, co służyło tylko Chwili, tylko Aktualności.

Może dlatego z pewną nieufnością przyjmujemy wydaną przez MON epicką powieść Myrera. Do tej nieufności przyczynia się zapewnienie autora, że zamierzał napisać coś w rodzaju współczesnej Iliady i wzorował się na Homerze. Brzmi to jak okrzyk pewnego naszego znajomego, który co dzień wita nas głośnym zapewnieniem, że w nocy napisał „genialne opowiadanie!"

Ale wróćmy do Myrera. Nowej Iliady pisarz ten nie stworzył, ale dał nam książkę do czytania, i chociaż niższego lotu od tych, które przed chwilą wymieniłem, lecz ciekawą, a chwilami nawet bardzo dramatyczną. Że dziś razi nas jej sentymentalizm i patos, no cóż, to już sprawa złośliwego Czasu, który perfidnie zdegradował własne nasze odczucia. Mimo to, książkę Myrera można zalecić wielbicielom batalistyki i lektury romantycznej: na setkach stron „Wielkiej wojny" naczytają się o miłości i bohaterstwie, a wszystko to w scenerii Pacyfiku. Czegoż żądać więcej za 45 zł!

S. M.

Anton Myrer „Wielka wojna". Wydawnictwo MON, 1964.

PRZYPISY

Przypisy dodane do książki są niby korzenie dodane do potrawy. Książka jest oprawą — niekiedy piękną, niekiedy zbyteczną — przypisy są drogimi kamieniami w owej oprawie. Marzy mi się niekiedy książka, która składałaby się z samych przypisów. Poemat, który składałby się z samych przypisów. Kto napisze taką książkę? Kto napisze taki poemat? Opatrywanie poematów przypisami jest dziś w modzie i sądzę, że jest to moda wielce pożyteczna w epoce kolorowych telefonów i ruchomych obrazów. Czytelnicy poematów nie mogą przecież wiedzieć wszystkiego. Czytelnicy książek nie mogą wiedzieć wszystkiego. Książki pozbawione przypisów, zmuszają nas do sięgania po encyklopedię. Ale encyklopedie są niby wymarłe zwierzęta. Niby kopalne zwierzęta. Pod A: Attyk, Attyka, Attyla, Attys. Pod K: Kyllene, Kylon, Kynosura. Wiedza o Attyku bardzo jest pożyteczna. Wiedza o Kynosurze czyli ogonie psa jest z pewnością niezbędna. Encyklopedie są niezbędne. I śmiertelnie nudne. Przypisy są często zbędne. Wiedza, którą wynosimy z lektury przypisów, nie jest nam potrzebna. Czytając przypisy, dowiadujemy się o czymś przypadkiem, dowiadujemy się, choć dowiedzieć się nie chcemy. Przypisy są zbędne. I jakże piękne w owej zbędności!

Gdyby nie przypisy nie dowiedziałbym się nigdy, kim był Louis Desaix de Veygoux „Louis Desaix de Veygoux — — pisze Stanisław Pigoń w przypisie pod 22 listem Zygmunta hr. Krasińskiego do ojca — (1768 — 1800), jeden z najdzielniejszych i najgłębiej oddanych Napoleonowi, bił się pod jego rozkazami w Egipcie, we Włoszech, zginął pod Marengo. Z rozkazu Napoleona pochowano zwłoki jego w klasztorze na Górze św. Bernarda, żeby pomnik miał „Alpy za podnóże". Na grobowcu napis lakoniczny:

A DESAIX
MORT A LA BATAILLE
DE MARENGO"

Zginął pod Marengo! Jeden z najdzielniejszych! Nic o tym nie wiedziałem! Choć tak kocham Napoleona!

Gdyby nie przypisy, nie dowiedziałbym się nigdy, że garlica to tyle co „synogarlica, ptak o sinym gardle, częsty epitet poetycki". Nie dowiedziałbym się nigdy, że słowo niewiestka w XVI wieku znaczyło tyle, co dziś synowa. Że heclicy to „hycle, rakarze, oprawcy". Że Testylis w sielance Szymona Szymonowica **Rocznica** „symbolizuje — jak powiada nieoceniony Janusz Pelc — żonę hetmana, Barbarę z Tarnowskich Zamoyską".

Przypisy są zbędne, napisałem. Ale to nieprawda. Przypisy są niezbędne. Gdyby nie przypisy, nie dowiedziałbym się kim była Anna Codde. Anna Codde była żoną Pietera Bickera Gerritsza. Mieszkała w Amsterdamie. W roku 1529 miała 26 lat. Tyle powiada inskrypcja, wycięta na ramie obrazu holenderskiego malarza Maertena Van Heemskercka. O obrazie bo mowa tym razem, a nie o książce. Maerten Van Heemskerck żył w latach 1498—1574. Maerten Van Heemskerck był bardzo dobrym malarzem. Namalował Anne Codde w roku 1529. Były to trudne lata, wiek wojen i zametu. Twarz Anny na portrecie Van Heemskercka jest cicha i spokojna. I pełna wiedzy. Anna wie wszystko. Wie zbyt dużo. Choć miała wówczas tylko, jak się rzekło, 26 lat. A Maer ten lat 31. Anna Codde żywie w onej ramie, na której dłoń Maertena wycięła jej imię i nazwisko, już 400 lat. Żywie, wyjęta z czasu. Żywie, odjęta przemijaniu. Czy rzeczywiście odjęta przemijaniu? Anna Codde żywie, bo zmienia się, z roku na rok, z dnia na dzień. To, co odjęte przemijaniu, co wyjęte z czasu, upada w proch i obumiera. Anna Codde żywie i zmienia się, bo zmienia się sztuka, bo dzieła artystów czasu minionego są w ruchu, są podległe zmianie. Anna Codde będzie żyć, bo będzie się zmieniać. Tego pragnął Van Heemskerck. Pragnął ocalić Annę Codde. Pragnął, by żyła przez stulecia. By się zmieniała przez stulecia. Ocalił Annę Codde malując jej portret. Ocalił Annę Codde, opatrując ów portret przypisem.

Myślę o Annie Codde, 26-letniej kobiecie, siedzącej przy kołowrotku, w zieleni i w bieli i w brązach. I myślę o Maertenie Van Heemskercku. Van Heemskerck mógł nie opatrzyć swego obrazu ową inskrypcją. Mógł przemilczeć owe imię i owe nazwisko, mógł przemilczeć Annę Codde. Przemilczałby Annę Codde, gdyby pragnął ocalić siebie i swoje dzieło. Tylko siebie i tylko swoje dzieło. Ale pragnął ocalić Annę. Przede wszystkim Annę. Dlatego wyciął przypis na ramie obrazu. Myślę o Annie Codde i o Maertenie. O czym myślałbym, patrząc na ów portret, gdyby Heemskerck nie wyciął owej inskrypcji, gdyby do obrazu nie został dodany przypis? Czy myślałbym o czystej

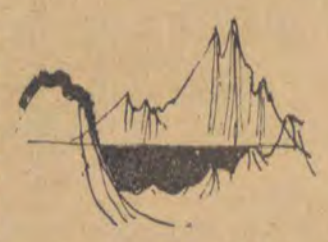

sztuce Van Heemskercka? O zieleniach i bieli i brązach. Nie. Myślałbym o nieznanej mi z imienia kobiecie, o anonimowej twarzy i anonimowych dłoniach. I myślałbym ze smutkiem o imionach zapadłych w przeszłość. I myślałbym ze smutkiem o malarzu, który zapomniał o czymś bardzo ważnym. O wycięciu na ramie obrazu inskrypcji. Na szczęście, nie zapomniał. Na szczęście, pragnął ocalić coś więcej, nie tylko swą czystą sztukę. Czysta sztuka obywa się bez przypisów. Gardzi przypisami. Zieleń i biel i brąz nie potrzebują dla siebie przypisów. Sztuka, wierna czasowi i wierna historii, nie obywa się bez przypisów. Nie obywa się bez przypisów, bo przypisy są obrócone przeciw czasowi i przeciw historii. Przeciw niszczącej sile czasu. Przeciw przemijaniu. Sztuka, wierna czasowi i wierna historii, obrócona jest zawsze przeciw niszczącej sile czasu i historii.

Tadeusz Marek Rymkiewicz

Sprawy obce i polskie

Zjazdy pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych mają już swoją tradycję. Ostatni zjazd, siódmy z kolei, który odbył się przed tygodniem w Poznaniu, tym się różnił od poprzednich, że wykroczył daleko poza granice regionalnego wydarzenia. Stało się to dlatego, że wziął w nim udział sekretarz KC PZPR — Zenon Kliszko (którego obszerną wypowiedź znają wszyscy z prasy), delegacje pisarzy z ZSRR, Czechosłowacji i NRD, a wreszcie autorzy z innych ośrodków Polski m. in. z Warszawy, Krakowa i Łodzi. Z naszego miasta wyjechali na ten zjazd: Tadeusz Chróścielewski, Maciej Kononowicz, Roman Łoboda, Marian Piechal, Igor Sikirycki oraz niżej podpisany.

W pierwszym dniu zjazdu wysłuchaliśmy referatów Aleksandra Rogalskiego i Wilhelma Szewczyka, następnie odbyła się dyskusja, ustalenie miejsca następnego zjazdu (będzie nim Olsztyn), podjęcie uchwały i rezolucji. Dwa pozostałe dni poświęcono zwiedzaniu Ziemi Wielkopolskiej, o czym jeszcze za chwilę. Piszącego te słowa zjazd poznański interesował w sposób szczególny, mówiło się bowiem dużo o sprawach niemieckich zarówno w referatach jak i w dyskusji. Aleksander Rogalski zajął się rodowodem hitleryzmu i literaturą krytyczną w NRF, zagadnieniu temu poświęconą, natomiast Wilhelm Szewczyk scharakteryzował powojenne powieści i zbiory opowiadań pisarzy polskich na temat wojny i okupacji hitlerowskiej. Chociaż książek o czasach hitlerowskich ukazało się w NRF wcale niemało, nie można powiedzieć, aby rozrachunek z hitleryzmem był pełny i dostatecznie przeanalizowany. Jeśli pominąć ugrupowania rewizjonistyczne i neonazistowskie, które nie tylko nie potępiają hitleryzmu, ale raczej go heroizują w sposób mniej lub bardziej jawny, w pozostałych środowiskach daje się zaobserwować postawę bagatelizowania, lekceważenia, bądź wstydliwego pomijania niewygodnej przeszłości. Nawet autorzy, nastawieni do hitleryzmu wrogo jak (dla przykładu) Heinrich Böll i Günter Grass nie dali w swoich książkach pełnego wymiaru sprawiedliwości „czasom pogardy". Stąd to wśród postępowych kół NRF mówi się o „nieprzezwyciężonej przeszłości" (die unbewältigte Vergangenheit), która wciąż jeszcze czeka na śmiałe i bezkompromisowe pióro pisarza niemieckiego. Wielu wybitnych uczonych europejskich, którzy kształcili się w młodości na uniwersytetach niemieckich (jak np. Arnold Toynbee), nie może do dziś pojąć i zrozumieć, jak naród o takiej cywilizacji mógł ulec Hitlerowi i wziąć masowy udział w podbojach, morderstwach i grabieży.

Wilhelm Szewczyk skupił się głównie na omówieniu kilku wybitniejszych pozycji polskich, podejmujących temat wojny i okupacji, dużo miejsca w swoim referacie poświęcając Leonowi Kruczkowskiemu i jego trzem dramatom o sprawach niemieckich („Przygoda z Vaterlandem", „Niemcy" i „Pierwszy dzień wolności"). Szewczyk przedstawił kilka modeli Niemca, jakie w literaturze polskiej zadominowały oraz dokonał oceny dorobku polskiego w zakresie problematyki niemieckiej, który jego zdaniem jest duży i wartościowy. W dyskusji, przebiegającej dwoma nurtami, mówiono zarówno o sprawach niemieckich jak i naszych własnych problemach, związanych z aktualną sytuacją kulturalną i literacką. Piszący te słowa wypowiedział się na temat szans i możliwości literatury polskiej na rynku niemieckim, inni jak Edmund Osmańczyk, Wojciech Żukrowski, a zwłaszcza Józef Lenart mówili głównie o kłopotach życia literackiego i współczesnej literatury w Polsce. Chociaż wszystko to są rzeczy ważne i nigdy nie dość jest mówić o tym, muszę się przyznać, iż najciekawsze wrażenia pozostały mi nie z narad, lecz z wypraw po Wielkopolsce, a nade wszystko z odwiedzin zaglębia konińskiego. Wprawdzie legenda o tym, że pisarze żyją „w wieżach z kości słoniowej"" i nie znają życia, jest tylko legendą i w ogóle bujdą z chrzanem, jednakże trzeba powiedzieć, że o wielu rzeczach, dziejących się w naszym kraju, nie wiemy, i możliwość poznania i zobaczenia ich warta jest każdego trudu. Podróże po Wielkopolsce uświetniła nam piękna słoneczna pogoda, która towarzyszyła nam aż do końca to znaczy do przyjazdu w ostatnim dniu do Kalisza. Konin, który do niedawna liczył zaledwie 15 tysięcy mieszkańców i był małym powiatowym miasteczkiem, w ciągu ośmiu lat rozrósnie się do liczby 80 tysięcy ludzi. Wędrówki po terenach kopalni odkrywkowej węgla brunatnego, a następnie zwiedzenie potężnej nowoczesnej elektrowni, zasilającej w energię elektrycz na cały Śląsk, Gdańsk, Poznań i inne obszary, stało się prawdziwym przeżyciem. Po raz pierwszy w życiu spotkaliśmy (my literaci) młodego inżyniera (32 lata), który o zawiłych i skomplikowanych problemach technologicznych potrafił mówić obrazowo i niezwykle zajmująco. Cały czas byłem pod urokiem tego człowieka. Nie znam się zupełnie na technice, a przecież to, co mówił ów młody inżynier, przyjmowałem jako rzecz zrozumiałą. Jeśli takich ludzi mamy w Polsce więcej, możemy spać spokojnie. Ten człowiek nie tylko zna świetnie swój fach, nie tylko rozmiłowany jest w swoim zawodzie i nie tylko pasjonuje się powierzoną mu robotą, ten człowiek jest po prostu i najprawdziwiej człowiekiem. Mówią: człowieka szukaj w biały dzień ze świecą. A myśmy go znaleźli bez świecy, lecz przy pięknej słonecznej pogodzie. Gdyby ktoś powziął zamiar napisania powieści o Koninie, powinien by napisać o tym młodym inżynierze. (Właśnie ukazała się powieść poznańskiego autora, Leszka Proroka, o tym terenie pt. „Drabina Jakubowa", ale jest to coś w rodzaju małej sagi rodzinnej, w której nie znalazłem postaci inżyniera ani tego, ani żadnego innego. Co zresztą nie jest żadnym dla tej książki uchybieniem). Każdy zjazd jest okazją do spotkań z ludźmi, z kolegami, z przyjaciółmi. Kto wie, czy te rozmowy nie są najciekawsze i czy nie dla nich wyjeżdżamy tak chętnie na literackie narady. Na zwiedzanej przez nas elektrowni wypisany jest na frontonie duży napis, rzucający się w oczy z daleka: „Pamiętaj, że człowiek rodzi się bez części zamiennych!" Ponieważ mamy tylko jedno życie, róbmy zeń dobry użytek. To znaczy wyjeżdżajmy w Polskę, w której dzieją się rzeczy ciekawe, a o których często nie mamy żadnego wyobrażenia.

Jan Koprowski

Spektakle tygodnia

FILM

POLONIA — „Sędzia dla nieletnich" 25 seansów	7 914
WŁÓKNIARZ — „Tajemnice Paryża" 12 seansów	4 366

TEATR

POWSZECHNY — „Szkoła obmowy" 3 spektakle	1 446 —	72%
„Pod własnym dachem" 4 spektakle	1 495 —	56%
JARACZA — „Wieczór Trzech Króli" 3 spektakle	1 500 —	75%
„Nagi król" 1 spektakl	680 —	100%
7.15 — „Odjazd 6.55" 6 spektakli	1 789 —	60%
NOWY — „Marie Octobre" 3 spektakle	1 200 —	60%
„Zamieć" 2 spektakle	650 —	50%
OPERA — „Verbum Nobile" 2 spektakle	1 422 —	100%
OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu" 6 spektakli	3 977 —	95%
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny 2 koncerty	783 —	50%
ESTRADA — Rewia z NRD „Cocktail ritmus" 1 koncert w sali Filharmonii	385 —	50%

SEWERYN POLLAK

Dokument z czasów przełomu

Niedawno ukazał się w przekładzie polskim pamiętnik Elżbiety Drabkinej pt. „Czarne suchary". Autorka pamiętnika jest córką wybitnego działacza rewolucyjnego, Jakuba Drabkina, znanego pod pseudonimem Sergiusz Iwanowicz Gusiew. Od wczesnego dzieciństwa przebywa w środowisku przyszłych twórców Rewolucji Październikowej — ono jest jej tomem, ono przesądza drogę jej późniejszego rozwoju, sposób jej myślenia. Toteż już od pierwszych stron jej niezmiernie interesującego pamiętnika czujemy autentyczność atmosfery, autentyczność tonu — rzecz w każdym pamiętniku, a tym bardziej w pamiętniku odnoszącym się do tak przełomowego okresu historii ogromnie ważna i istotna, z góry dobrze przy tym usposabiająca czytelnika do autorki i wzbudzająca zaufanie do jej relacji.

Oną atmosferę środowiska rewolucyjnego w Rosji i na emigracji, styl życia i dyskusji. Drabkina ukazuje wiernie opowiadając drobne częstokroć fakty ze swego niezwykłego dzieciństwa, gdy była właściwie pozbawiona rodzinnego domu, bo rodzice jej ze zrozumiałych powodów prowadzili życie wędrowców, wiecznie zresztą rozdzielanych przez areszty, wyroki i zesłania, a „domem" jej była partia i ludzie partii.

Oczywiście, gdy autorka opowiada o II Zjeździe partii w Brukseli i w Londynie i o roli swojego ojca na tym historycznym Zjeździe, gdy mówi o 1905 roku, o swojej matce, która przewoziła broń biorąc ze sobą dla niepoznaki kilkuletnią córeczkę — to fakty te zna ona raczej z relacji rodziców i dlatego siłą rzeczy mówi o nich w sposób dość zwięzły, choć i w tym wypadku nie pozbawiony barwnych, charakterystycznych szczegółów.

Im dalej jednak — tym szczegółów tych jest więcej, tym większej nabierają wagi, bo dotyczą nie byle jakich postaci. Godna podziwu jest prostota, z jaką Drabkina opowiada o osobistościach dziś dla nas owianych mgiełką mitu, mówi o ich zachowaniu się w sytuacjach niejednokrotnie przełomowych, historycznych, a także o ich życiu codziennym. Kogóż tam nie ma? I Lenin, i Róża Luksemburg, i Swierdłow, i Plechanow, a w pewnym momencie nawet Kautsky.

Drabkina mówiąc o wybitnych postaciach rewolucji potrafiła zachować ogromnie szlachetny umiar — w jej relacjach z dzieciństwa, a tym bardziej z czasów, gdy sama spotyka się czy to z Leninem, czy z Różą Luksemburg, czy ze Swierdłowem — przy wyraźnej czci, jaką darzy te postacie, nie ma ani śladu brązowienia, przesadnej monumentalizacji, ani też, przeciwnie, prób ukazywania ich „w pantoflach". Relacja jej przesiąknięta jest głębokim szacunkiem, zrozumieniem ich roli historycznej, a jednocześnie poczuciem dystansu, jaki dzieli ją, szeregową działaczkę w latach rewolucji od wodzów tej rewolucji. A przy tym wszystkim ów dystans nie przeszkadza jej w ukazywaniu drobnych faktów z bezpośrednich z nimi kontaktów, faktów, które przybliżają nam te postacie, pozwalają nam lepiej je zrozumieć.

Trzon pamiętnika Drabkinej — to okres od rewolucji lutowej do końca 1919 roku. W tym czasie autorka pamiętnika sama jest aktywistką, bardzo młodą co prawda i niedoświadczoną, ale też bardzo czynną, zapaloną i — co dla nas najważniejsze — obdarzoną wielką wrażliwością, umiejętnością zachowania proporcji w ocenie faktów historycznych, których jest świadkiem.

Wydaje mi się, że pamiętnik Drabkinej obok relacji Johna Reeda jest bodaj drugą książką, która pozwala zrozumieć żywe i bezpośrednie motory działania ludzi owych czasów, ukazuje starcie się sprzecznych sił i dążeń rewolucji. Takie rozdziały jak „Moskiewskie pożary", jak sceny na piątym Zjeździe Rad — a przytaczam je tutaj przykładowo — uderzają swoim dramatyzmem, podobnie zresztą jak i berlińskie przeżycia autorki. Niewątpliwie książka Drabkinej, pisana ze swadą, nie pozbawiona walorów literackich, choć pod tym względem nie można jej porównywać z „Dziesięcioma dniami" Reeda, jest dokumentem o wielkiej wartości. Mankamenty tej książki, pewne niedopracowania i niedoeksponowania, w niczym tych wartości nie pomniejszają, podobnie jak i pewne impresyjne, wyrywkowe oceny, całkowicie dopuszczalne w pamiętniku.

„Czarne suchary" przełożyła bardzo starannie i wiernie Jadwiga Siekierska, zbytnio może czasem w swoim dążeniu do wierności ulegając sugestii rosyjskiego zdania.

Przeczytaj w pociągu Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj u dentysty

WILLIAM FREYER HARVEY

SIERPNIOWY UPAŁ

Phenistone Road, Clapham.

20 sierpnia 190-. Jest to wyjątkowy dzień mojego życia, a ponieważ zdarzenia są jeszcze zupełnie świeże w mojej pamięci, postaram się je zapisać jak można najdokładniej.

Nazywam się James Clarence Withencroft. Mam 40 lat, cieszę się dobrym zdrowiem i nigdy nie chorowałem.

Jestem malarzem niezbyt znanym, ale wystarczająco dużo, by zaspokoić wszelkie swoje potrzeby.

Najbliższa mi osoba, moja siostra, umarła pięć lat temu i tak oto stałem się niezależny.

Śniadanie zjadłem dziś o dziewiątej, przejrzałem poranną prasę, zapaliłem fajkę i zacząłem szukać jakiegoś tematu dla mojego ołówka.

Otworzyłem okna i drzwi w pokoju. Mimo to, było gorąco. Pomyślałem, że najchłodniejszym i najbardziej przyjemnym miejscem w sąsiedztwie byłby basen kąpielowy.

I wtedy przyszedł mi pomysł. Zacząłem rysować. Byłem tak zajęty moją pracą, że nawet nie tknąłem obiadu. Usłyszałem jak zegar na wieży wybija czwartą i wtedy przerwałem pracę.

Był to najlepszy rysunek, jaki kiedykolwiek zrobiłem. Przedstawiał on przestępcę na ławie oskarżonych, tuż po ogłoszeniu wyroku sądowego. Był to bardzo otyły mężczyzna. Podbródek zwisał mu pofałdowany i łączył się z potężną, krótką szyją. Mężczyzna był nie ogolony i prawie łysy. Stał, słuchając wyroku. Jego krótkie, grube palce zacisnęły się na poręczy. Patrzył prosto przed siebie. Jego twarz nie wyrażała uczucia strachu. Była tam jedynie całkowita rezygnacja.

Wydawało się, że w tym człowieku nie ma już żadnej siły, która mogłaby podtrzymać to olbrzymie ciało.

Zwinąłem rysunek i włożyłem go do kieszeni. Byłem zadowolony ze swojego dzieła i z tym uczuciem wyszedłem z domu.

Wiem, że skierowałem się w stronę Trenton. Pamiętam, szedłem ulicą Lytton, potem skręciłem w prawo i szedłem Gilchrist Road aż do wzgórza, gdzie robotnicy budowali nową linię tramwajową.

Od tego miejsca nie pamiętam dokładnie, którędy szedłem. Jedyną rzeczą, którą odczuwałem, był upał wydobywający się z zakurzonego asfaltu drogi, upał krążący wokół mnie. Z niecierpliwością oczekiwałem burzy, którą niosły zwały miedzianych chmur, zawieszonych nisko nad zachodnią stroną nieba.

Chyba uszedłem 5 do 6 mil, gdy jakiś chłopiec wyrwał mnie z zamyślenia, pytając, która godzina.

Była za dwadzieścia siódma.

Kiedy odszedł, zacząłem zastanawiać się, gdzie jestem. Stałem przed bramą, która prowadziła na podwórze, otoczone pasem spragnionej deszczu ziemi, na którym rosły purpurowe i szkarłatne kwiaty. Nad wejściem wisiała tablica z napisem:

Chas. Atkinson
kamieniarz
wykonuje nagrobki i pomniki
z włoskiego i angielskiego marmuru

Z podwórza dobiegł mnie wesoły gwizd, uderzenia młotka i zimny dźwięk stali, wrzynającej się w kamień.

Coś mnie podkusiło, żeby wejść.

Odwrócony do mnie plecami, na pokrytej żyłkami marmurowej płycie siedział mężczyzna i wykuwał litery. Odwrócił się na dźwięk moich kroków.

To był ten narysowany przeze mnie, ten, którego portret znajdował się w mojej kieszeni.

Teraz siedział tam potężny, ociężały. Pocił się i czerwoną chustką wycierał głowę i twarz, twarz z portretu, która teraz miała inny wyraz.

Przywitał mnie uśmiechem, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi i podał mi rękę.

Przeprosiłem go za najście.

— Wszystko pali się dokoła i tylko tutaj można znaleźć trochę chłodu — powiedziałem.

— Upał jest naprawdę piekielny — odpowiedział. — Proszę usiąść!

Wskazał mi miejsce na końcu płyty nagrobkowej, w której kuł. Usiadłem.

— Ładny kamień — powiedziałem.

Potrząsnął głową.

— Powierzchnię ma taką jak rzadko, ale z tyłu jest poważna skaza, chociaż nie sądzę, żeby pan mógł ją zauważyć. Nigdy bym się nie odważył robić coś poważniejszego z takiego marmuru jak ten. Latem to jeszcze nic. Niech pan zaczeka do zimy. Dopiero mróz pokaże słabe miejsca kamienia.

— To po co pan to robi?

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Nie uwierzy pan jeżeli powiem, że to na wystawę. Ale to prawda. Malarze mają swoje wystawy, rzeźnicy, sklepikarze. My też mamy. Pokazujemy nowe rodzaje nagrobków.

Zaczął mówić o marmurach, o tym który najlepiej opiera się naszej dżdżystej i wietrznej pogodzie i na którym najlepiej się pracuje. Potem zaczął mówić o swoim ogrodzie, i o nowym gatunku goździków. Co chwila kładł narzędzia na ziemi, wycierał swoją świecącą się głowę i przeklinał upał.

Mówiłem niewiele, zacząłem odczuwać niepokój.

Próbowałem siebie przekonać, że już widziałem go kiedyś, że jego twarz, zupełnie mi nieznana, znalazła miejsce w jakimś kąciku mojej pamięci.

Atkinson skończył pracę, splunął na ziemię i wstał z westchnieniem ulgi.

— No jak się panu podoba? — powiedział z dumą.

Oto napis, który przeczytałem:

Ś. p.
James Clarence Withencroft
ur. 18 stycznia 1860
odszedł nagle
20 sierpnia 190-
„Jesteśmy martwi
w środku życia".

Dłuższą chwilę siedziałem oszołomiony. Przebiegł mnie zimny dreszcz. Spytałem go, skąd zna to nazwisko.

— Nie znam. Po prostu wymyśliłem je. A bo co?

— To dziwne, ale nazwisko jest moje.

Gwizdnął przeciągle.

— A daty?

— Zgadza się tylko jedna.

— A to ci zdarzenie!

W dalszym ciągu wiedział mniej niż ja. Powiedziałem mu, co narysowałem dziś rano. Wyjąłem z kieszeni szkic i pokazałem. Patrzył, a wyraz jego twarzy coraz bardziej upodabniał się do tego na rysunku.

— Jeszcze wczoraj mówiłem Marii, że nie ma duchów.

Żaden z nas nigdy nie widział ducha, ale wiedziałem, o co mu chodzi.

— Prawdopodobnie pan słyszał gdzieś moje nazwisko.

— A pan chyba gdzieś mnie widział, a potem zapomniał! Czy był pan w lipcu ubiegłego roku nad morzem w Clacton?

Nigdy nie byłem w Clacton. Milczeliśmy przez chwilę. Obaj patrzyliśmy na dwie daty umieszczone na nagrobku, z których tylko jedna była prawdziwa.

— Może zjemy razem kolację? — powiedział Atkinson.

Jego żona okazała się miłą, drobną kobietą o rumianych policzkach. Kamieniarz przedstawił mnie jako swojego przyjaciela, który jest malarzem. Po kolacji gospodyni przyniosła mi Biblię z ilustracjami Dorego i musiałem wyrażać swój zachwyt prawie pół godziny.

Kiedy wyszedłem na podwórze, Atkinson siedział na nagrobku i palił.

Znowu zaczęliśmy o tym samym.

— Pan wybaczy pytanie, ale czy nie zrobił pan czegoś, o co mogliby wytoczyć panu proces?

Potrząsnął głową.

— Nie jestem bankrutem, interes idzie dobrze. Nic nie mam na sumieniu — dodał po namyśle.

Wstał, wziął konewkę i zaczął podlewać kwiaty.

— Kiedy jest gorąco, trzeba je podlewać dwa razy dziennie. Wtedy upał nie szkodzi tym bardziej delikatnym. A paprocie? Te by nie wytrzymały bez wody. Gdzie pan mieszka?

Powiedziałem mu. Musiałbym szybkim krokiem iść prawie godzinę, żeby się dostać do domu.

— No tak. Rozpatrzmy wszystko. Jeżeli pan teraz pójdzie, nie wiadomo, jak to się skończy. Może pana przejechać samochód, albo się pan pośliźnie, albo drabina na pana spadnie.

Mówił pół żartem. Ale nie wydawało mi się to śmieszne.

— Najlepiej będzie, jeżeli pan zostanie tutaj do dwunastej. Chodźmy na górę zapalić. Tam jest chłodniej.

Ku mojemu zdziwieniu zgodziłem się.

Siedzimy w długim, niskim pokoju na poddaszu. Żona kamieniarza już śpi, a on ostrzy narzędzia na małym kamieniu i pali moje cygaro.

W powietrzu wisi burza. Piszę na małym stoliku stojącym przy otwartym oknie. Stolik jest trochę rozklekotany. Chwieje się. Atkinson powiedział, że naprawi go, jak tylko skończy.

Już po jedenastej. Wyjdę stąd za godzinę.

Upał jest taki, że można oszaleć.

przełożył Roman Gorzelski

Przeczytaj w pociągu Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj u dentysty

Notatnik kulturalny

4. V. — 10. V.

PONIEDZIAŁEK

Nie zdarzyło się jeszcze, aby klienci przewrócili w „Delikatesach" stoisko z cytrynami. Na kiermaszu książek przewrócono stoisko z nowościami. Muszę przyznać, że ów brak opanowania i swoiste chuligaństwo są mi w tym wypadku raczej sympatyczne. Mniej sympatyczne są natomiast inne zjawiska. Na wspomnianym kiermaszu łódzcy literaci w krótkich abcugach sprzedali wszystkie swoje książki i wielu amatorów literatury i autografów musiało odejść z kwitkiem. A w księgarniach „Domu Książki", tego samego „Domu Książki", który organizował kiermasz, książki łódzkich pisarzy są i to często w nadmiarze. Czemu więc zabrakło ich na kiermaszu? Na to pytanie można oczywiście odpowiedzieć, że nie przewidziano takiego runu na łódzką literaturę, ale będzie to tłumaczenie podobne do tłumaczenia ZOM, który nigdy nie może przewidzieć, że zimą pada śnieg.

WTOREK

Pół tysiąca nadesłanych prac, 50 autorów — efekt: 110 fotogramów wystawionych w lokalu ŁTF. Plon konkursu „XX-lecie PRL w fotografii". Musimy się na to przygotować — konkursów i wystaw z okazji tej wielkiej rocznicy będzie sporo — oczywiście nie sposób wszystkie odnotować, ale po uważnym obejrzeniu prac w maleńkim salonie przy ul. Struga pomyślałem, że jest to bezsprzecz nie jedna z imprez, które należy zareklamować. Z fotografikami sprawa prosta. Kto ciekaw pójdzie sobie na wystawę. Ale jak zareklamować wystawę Międzynarodowej Karykatury otwartą w lokalu „Szpilek" w Warszawie? Sam na niej zresztą nie byłem, tylko znajomy przywiózł mi katalog. Obliczyłem, że na 191 karykaturzystów z całego świata jest 31 Polaków. Wśród nich znalazłem 4 łódzkie nazwiska: Baraniecki, Mozolewski, Skonieczny, Wasilewski.

ŚRODA

Pojechałem dziś do Łęczycy. W prochowni XIV-wiecznego zamku obejrzałem wystawę łęczyckiej sztuki ludowej. Zafascynowała mnie. Napiszę o niej szerzej, dziś natomiast wspomnę o czymś co mnie oburzyło. Otóż przyjechała do Łęczycy grupa pisarzy wędrujących po Polsce. Na rynku powitał ich pewien wojewódzki notabl i... zaczął pokazywać odmalowane kamieniczki, ratusz, wyasfaltowane ulice... Na obejrzenie jedynej w swoim rodzaju ekspozycji nie starczyło czasu. Wydaje mi się, że artystów, pisarzy sztuka ludowa zainteresowałaby bardziej, niż asfalt na ulicach i ratusz wzniesiony notabene przez tego samego architekta co warszawski Belweder. Ale cóż robić — każda pliszka swój ogon chwali. Więc także ów wojewódzki notabl zachwalał „po swojej linii" malowany ratusz i kolorowe kamieniczki.

CZWARTEK

Dawno już nie byłem w Muzeum Sztuki, a dziś właśnie jest tam imprez mnogość. Dokładnie dwie. Otwarto zatem wystawę 31 ilustracji do Iliady i Odysei — zmarłego przed dziesięciu laty łódzkiego malarza Wacława Borowskiego. Wizja antycznego świata jest w pracach Borowskiego tak sugestywna, że należałoby sobie życzyć, aby jego ilustracje znalazły się tam, gdzie były adresowane — w jakimś nowym, albumowym wydaniu Homera. Ale okazuje się, że nie sztuka tworzyć — sztuka wydać. A propos sztuka. Muzealne kino „Sztuka" wyświetliło dziś, jak co czwartek filmy o Pałacu Łazienkowskim, o Wilanowie, o Józefie Chełmońskim. Sporo mamy filmów o sztuce — normalne kina biorą je niechętnie, więc „Sztuka" sztukę lansuje i jeszcze dopłaca. Serio. Uczestnicy seansów (bezpłatnych!) biorą udział w losowaniu pięknych, oprawionych reprodukcji malarstwa. Człowieku, naturalia dają ci do rąk, tylko nieco kulturą się zainteresuj! Chociaż raz — z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy.

PIĄTEK

Rozpoczął się V Festiwal Filmów Szkolnych PWSF. Ponieważ prasa codzienna o repertuarze informuje szybciej niż tygodnik, z konieczności zabawię się liczbami. PWSF ukończyło 130 reżyserów i 128 operatorów. Wśród absolwentów jest 20 cudzoziemców. Obecnie studiuje na Wydziałach Reżyserskim i Operatorskim — 101 słuchaczy. W tym... 14 kobiet. Ponad 20 proc. studentów, to słuchacze zagraniczni. Powszechnie się sądzi, że studia na „Filmówce" to duża frajda i zabawa. Oto jak wygląda rzeczywistość. Jeśli na drugim roku Wydziału Reżyserii znajduje się 21 studentów, to na trzecim roku jest ich już tylko 6, a na czwartym... 4. Są to dane z ostatnich lat. Ci, którzy zostaną, ci którzy za oryginalnym strojem i artystyczną pozą kryją rzetelną wiedzę o filmowym rzemiośle tworzą filmy, które potem podziwia wybredna, festiwalowa publiczność.

SOBOTA

Historycy mają zdania podzielone. Jedni twierdzą, że Laurens Coster z Haarlemu pierwszy w Europie wynalazł sposób odlewania czcionek. Wersja popularniejsza przypisuje ten wynalazek Janowi Gutenbergowi. Zwolennicy jednej i drugiej wersji zgodnie twierdzą, że w ogóle pierwszy w tej dziedzinie był chiński kowal Pi Szeng w roku 1041. Zostawmy jednak historię — mamy dziś w Łodzi osiem wielkich zakładów poligraficznych i dzisiejsze święto obchodzi ponad 4 tysiące wykwalifikowanych „towarzyszy sztuki drukarskiej". Piękna historia polskiego drukarstwa zaczęła się 490 lat temu skromną książką o przydługim tytule „Calendarium anni Domini Currentis". Obchodzący dziś swoje święto łódzcy drukarze mają na swoim koncie dwa miliardy gazet i 240 milionów książek. Wzruszyła mnie ta proporcja.

NIEDZIELA

Na kiermaszu książkowym w Klubie Dziennikarza kilkanaście egzemplarzy „Opowieści biblijnych" sprzedano w ciągu paru minut. „Biblia" Kosidowskiego to świetna książka, przepięknie wydana i nie dziwię się, że zdobyła popularność. Ale w jej cieniu leżą sobie spokojnie na półkach księgarni inne „Opowieści biblijne". Również świetnie napisane, również ciekawe i choć skromniej wydane mają nad bestsellerem Kosidowskiego tę przewagę, że są za cenę 13 zł dostępne bez trudu w każdej księgarni. Mam na myśli książkę Mirosława Azembskiego pt. „Sprzymierzeni z Jehową". Jeśli więc ktoś marzy o przeczytaniu Biblii z naukowym aneksem, niech nie kokietuje księgarzy, niech nie szuka wujków w „Domu Książki", lecz niech kupi książkę Azembskiego. Tanio, bez kumoterstwa, a przyjemność ta sama.

J. W.

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1463. V. 64. F-13